MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 22. WARSZAWA, 15 MAJA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

PO SZEŚCIU LATACH

W SZEŚCIOLECIE rządów pomajowych pożyteczne może będzie rzucić okiem na stan spraw naszych na gruncie międzynarodowym. Jest to spory szmat czasu odrodzonego życia państwowego. Niemal połowa tego okresu, bo do maja 1926 siedem i pół lat, a po maju 1926, sześć lat. W pierwszych siedmiu latach budowa stanowiska Polski na gruncie międzynarodowym dokonywała się, w warunkach bardzo trudnych, jak zawsze w początkach, a jednak pomyślnie i dziełami dziejowego znaczenia: granice, sojusze, przełamanie mniemania w świecie o porywczości naszej w zamierzaniach zagranicznych, zdobywanie miejsca jako poważny i obliczalny czynnik w świecie. W dalszych zaś sześciu latach, w warunkach, które i teraz nie przestały być trudne, słyszało się ustawicznie głosy, świadczące jakoby o wzroście pomyślnego biegu rzeczy, a w każdym razie o wielkiem zadowoleniu: jesteśmy mocarstwem, mamy mocarstwową politykę, liczymy się do mocarstw rozstrzygających. Jeśli tak się sądzi, a tak nie jest, to bardzo niedobrze. Pomyłki rachunkowe w sprawach zagranicznych są bowiem szczególnie niebezpieczne i kosztowne. Dlatego trzeba te sprawy szczególnie starannie mieć na oku.

Stosunki w świecie, a szczególnie w sąsiedztwie naszem, nie układają się dla Polski pomyślnie.

W Niemczech dokonały się w ciągu tego sześciolecia wielkie przeobrażenia. Pospolicie za najdobitniejszy ich wyraz uważa się ruch Hitlera, jako zjawisko nawskroś odwetowe, a już w stronę granic polskich i poza nie całkowicie nieokiełznane. Może jednak zjawiskiem jeszcze wymowniejszem, chociaż wymową spokojną, jest ta przemiana, która dokonała się około osoby Hindenburga i w jego nazwisku znajduje swój wyraz. W r. 1925 był Hindenburg, przeciw b. kanclerzowi Marx'owi, kandydatem na Prezydenta Rzeszy całej prawicy, hitlerowskiej, hugenbergowskiej, stahlhelmowej, hohenzollernowskiej, a zwalczała go cała lewica i cały środek, stojące na stanowisku republiki i pokoju W r. 1932 był Hindenburg, przeciw Hitlerowi, kandydatem już właśnie tej lewicy, z socjalistami włącznie, i środka. To nie Hindenburg się zmienił i nie uronił on niczego ze swych dążeń odwetowych wyrażanych w Tannenbergu (1927), w Opolu (1928) czy w Nadrenji (1930), ani jednem słowem od nich nigdy nie odstępując. Ale poprostu poglądy Hindenburga, niezmienione, zbliżyły się do zmienionych powoli poglądów lewicy i środka w Niemczech, które od r. 1925 poczyniły ogromne postępy w żądaniach wyswobodzenia się z traktatów. Dobrem podmalowaniem tych przeobrażeń, dokonywanych tak, że świat ani się obejrzał, gdy stały się one rzeczywistością, jest dwulicowa, dzisiaj nieco odsłoniona w pamiętnikach, polityka Stresemann'a, który pisał wiernopoddańcze sprawozdania Kronprinzowi, a wobec świata występował jako polityk pokoju, wieńczony nagrodą pokojową. Dzisiaj stan rzeczy jest taki, że Niemcy Hitlera dążą do zrzucenia traktatów, Niemcy Hindenburga... także, a innych Niemiec... niema.

Rosja Sowiecka, jako drugi nasz wielki sąsiad, przechodzi również przeobrażenia, które dla nas nie są obojętne. Polityka polska, jak to się może już dokładnie wyjaśniło wśród licznych spo-

rów, opierać się chce na pokoju z Rosją, czyli dzisiaj z Sowietami. Ale w każdej polityce wchodzi w grę, obok dążeń, także stosunek sił. Nie może być rzeczą obojętną, czy on się zmienia, czy nie, bo powoli zmieniony stosunek sił wyraża się zawsze we wzajemnych stosunkach sąsiadów. Otóż Rosja Sowiecka, bez względu na to, jaką część jej przedsięwzięć, znanych pod nazwą piatiletki, uzna się za urzeczywistnioną, niewątpliwie nie traci czasu i wzmacnia się w szerokich rozmiarach. Trudno dostrzedz objawy takiego wzmacniania się u nas.

Mamy jeszcze sąsiadów na południu i na północy. Przed r. 1926 istniała u nas polityka porozumienia z Małą Ententą i tak samo polityka porozumiewań się z Państwami Bałtyckiemi. Obecnie tego niema.

Napół z nami sąsiaduje, a napół do obszaru polskiego należy Gdańsk. W sporach r. 1923 i r. 1925 uznał Gdańsk, że nie wychodzą mu one na dobre. Obecnie doszedł do przekonania, że może sobie wobec Polski pozwalać na wielką swobodę postępowania.

Czy stanowisko Polski w państwach sprzymierzonych, które w jej odrodzeniu współdziałały, wzmocniło się, czy osłabło?

W Stanach Zjednoczonych Ameryki niewątpliwie żywe było zrozumienie praw Polski do odzyskania rzeczywistej niepodległości i tam także naprzód zabrzmiało w sposób urzędowy, w orędziu Prezydenta Wilsona, nasze hasło dostępu do morza. Nie mogliśmy również narzekać na nieżyczliwość Ameryki w pierwszych latach niepodległości. Obecnie doczekaliśmy się ze St. Zj. Ameryki tak ponurych niespodzianek, jak to, że za Prezydenta Hoover'a, który również okazywał nam swą przyjaźń, a w dodatku w czasie pobytu prezesa francuskiej rady ministrów p. Laval'a, w październiku 1931, senator Borah, przewodniczący komisji spraw zagranicznych, czyli polityk, którego oświadczenia mają pełne znaczenie, dał wyraz poglądowi, iż dla pokoju Europy trzeba Niemcy zadowolić kosztem polskiego Pomorza.

W Anglji nastroje bywały rozmaite, ale to, że p. Lloyd George, który był jednym z głównych współtwórców Traktatu Wersalskiego, obecnie z całą swobodą oświadcza się za jego zmianą, przedewszystkiem kosztem Polski, jest zjawiskiem wcale niepowszedniem.

We Włoszech, gdzie sympatje do narodu polskiego oddawna są zakorzenione, p. Mussolini, a w końcu także Wielka Rada Faszystowska w uchwale z kwietnia 1932, oświadcza się za rewizją traktatów, najzupełniej bez oglądania się na Polskę.

Najbardziej niepokojąco przedstawia się stan naszych spraw we Francji. Niemożność uzyskania tam pożyczki, mimo szczególnych starań i umieszczenia w Paryżu osobnej placówki pożyczkowej p. senatora Targowskiego i wręcz zlotów pożyczkowych w Paryżu polskich ministrów i wiceministrów, jak było w marcu r. b., jest już sama przez się dostatecznie wymowna, szczególnie w zestawieniu z równoczesną pożyczką dla Czechosłowacji na rynku francuskim. A tu nagle dołączyło się do tego, w kwietniu r. b., jawne opowiadanie się przedstawicieli odłamów francuskich, których lekceważyć nie można, przeciw sojuszowi Francji z Polską. Kilka lat temu ani to było możliwe, ani wogóle niktby sobie mógł wyobrazić, że można wystąpić z takiemi pomysłami. Niechęć do sojuszu jest niedwuznacznie uzasadniana brakiem uznania dla stanu rzeczy w Polsce. Ostatnie przesunięcia większości w Izbie Deputowanych, w wyborach z 1-go i 8-go maja b. r., są w tym względzie przesunięciem od powściągliwości i oględności ku większej doraźności w stanowisku wobec sojuszu francusko-polskiego.

W tym stanie rzeczy na widnokręgu międzynarodowym nie znaczymy swego pochodu powodzeniami. Układy w Hadze z sierpnia 1929 i stycznia 1930 zamknęły całkowicie oczy na sprawę bezpieczeństwa Polski, wyraźnie zagrożonej, nie stwarzając nieczego wzamian za wyjście z Nadrenji. Próba układu handlowego z Niemcami z marca 1930, okupionego układem z października 1929 o zrzeczeniu się przez Polskę likwidacji mienia niemieckiego i wykupu osad niemieckich, zawiodła całkowicie po stronie Niemiec, które na ratyfikację polską z marca 1931 nie odpowiedziały ratyfikacją. Wlokąca się od r. 1926 sprawa układu z Rosją Sowiecką o wzajemnem nienapadaniu się utknęła, po ożywieniu latem 1931, obecnie w sposób równie nowy jak gruntowny, tak iż wogóle przestano o tem mówić.

Czeka nas zaś, we wrześniu r. b., dalsza ważna próba: odnowienie miejsca Polski na dalsze trzy lata w Radzie Ligi, do czego potrzeba naprzód dwu trzecich głosów Zgromadzenia Ligi, celem uzyskania prawa ponownego wyboru, a następnie zwykłej większości dla samego wyboru.

Chwila zastanowienia się nad tym stanem rzeczy odbiera niechybnie wszelką ochotę do zastanawiania się nad szumną gadaniną o mocarstwie, mocarstwowości i mocarstwowej polityce. Ma się wrażenie, że to dzieci bawią się w dorosłych, igrając wyrazami, których nie rozumieją. Jest to jednak jedna z najkosztowniejszych zabaw, jakie ktokolwiek pamięta.

Nie wrócą lata, które bezpośrednio następują po wskrzeszeniu Państwa. Dane one nam były przez przełom dziejowy dla wytężonej pracy, abyśmy mocno stanęli na nogach, zanim znowu narosną

wrogie nam siły. Marnowanie tych lat jest trwonieniem bezpowrotnem zasobów pochodu narodu w dalsze dzieje.

Przewrót majowy był zjawiskiem, do którego cech, zarówno w chwili, gdy się dokonywał, jak ciągle następnie, gdy władał, należało daleko idące odróżnienie naszego życia od życia tych państw zagranicznych, z któremi powinniśmy współpracować. Przestano nas tam rozumieć. A dzisiaj już tylko miesiąc za miesiącem i zdarzenie za zdarzeniem wskazują, jak wygląda na gruncie międzynarodowym polityka i powodzenie państwa, którego nie rozumieją.

STANISŁAW STROŃSKI

POLITYKA G. STRESEMANNA

W SZEROKICH KOŁACH Gustaw Stresemann ma opinję jednego z „wielkich Europejczyków" czasów obecnych. Opinję taką wyrabiają mu celowo i konsekwentnie zwolennicy systemu genewsko-lokarneńskiego w polityce międzynarodowej, widokom niemieckim dogadza też jeszcze przedstawianie polityki Stresemannowskiej jako dążenia do pacyfikacji powszechnej i nowej ery w stosunkach między narodami. Ileż korzyści bardzo namacalnych bowiem daje legenda o współdziałaniu dwóch „wielkich europejczyków" Brianda i Stresemanna...

Legenda ta jednak daleka jest od rzeczywistości. Wie o tem każdy, kto śledził rozwój wydarzeń w okresie powojennym. Ktoby wszelako miał jakieś wątpliwości i co do programu politycznego G. Stresemanna, i co do pobudek jego działalności publicznej, ten niech przeczyta tom pierwszy wydanych świeżo dokumentów, dotyczących działalności politycznej zmarłego ministra niemieckiego [1]).

Tom ten obejmuje „papiery", pochodzące z okresu lat 1923 i 1924 i dotyczące walki o Zagłębie Ruhry i konferencji londyńskiej. Są tam jego przemówienia w parlamencie, na konferencjach międzynarodowych, na zebraniach politycznych i prasowych, artykuły w pismach i odręczne notatki... Postać Stresemanna jako męża stanu zarysuje się z pewnością w całej pełni, gdy wydawnictwo będzie zakończone, już tom pierwszy wszelako, przynoszący materjał do czasów, gdy się rodził plan polityczny Stresemanna, wystarczy, by określić z całą ścisłością zarówno pobudki, które były motorem jego działalności, jak też i podstawy jego programu politycznego.

Stresemann był przedewszystkiem patrjotą niemieckim, głoszona nazewnątrz „europejskość" była środkiem do osiągnięcia celów polityki niemieckiej.

Punktem wyjścia polityki Stresemannowskiej była realna ocena położenia Niemiec w świecie, fakt, że nie były one zdolne do odzyskania za jednym zamachem wszystkiego, co utraciły w wojnie, że tylko powoli, stopniowo mogą zdobywać nowe pozycje. Wobec takiego punktu wyjścia trzeba było wytworzyć Niemcom w świecie opinję narodu spokojnego, pragnącego wywiązać się z zobowiązań, nałożonych przez traktaty, dążącego do współpracy europejskiej, do pacyfikacji powszechnej... Za rzecz najpierwszą i najważniejszą uważał Stresemann pozbycie się wojsk okupacyjnych z Nadrenji, nietylko dlatego, że chodziło o opuszczenie terytorjum niemieckiego, lecz dlatego przedewszystkiem, że usunięcie Francuzów z nad Renu wyzwalało politykę niemiecką, że odejmowało Francji jedyny skuteczny sposób wywierania presji na Niemcy. Zagadnienie reńskie jest w ośrodku myśli i zabiegów Stresemanna, odczuwał on doskonale to, czego nie rozumiano w obozie b. aljantów, że pobyt nad Renem jest najlepszą gwarancją wykonania traktatów.

Wyzwalanie Niemiec miało się — wedle planu Stresemanna — dokonywać etapami. Etapem końcowym miało być przywrócenie przedwojennej granicy na wschodzie. Jeśli wyzwolenie Nadrenji było pierwszym i niezbędnym warunkiem wszelkiej aktywnej polityki niemieckiej, to rewizja postanowień terytorjalnych traktatów była głównym objektem jego planów na przyszłość. Wiedział on, że Niemcy nie były zdolne do wystąpienia z bronią w ręku; dla zyskania więc możności podtrzymywania aspiracyj do odzyskania ziem wschodnich, dla wprowadzenia akcji rewizyjnej na tory realne, rzucił hasło „pokojowej rewizji" traktatów i porozumienia z Francją. Stresemann jest właściwym autorem umów lokarneńskich i opartej na nich polityki. Dla przeprowadzenia naszkicowanych powyżej planów, których wynikiem miało być przywrócenie Niemcom przedwojennych granic i odzyskanie przez nie dominującej pozycji na kontynencie europejskim, było rzeczą niezbędną, ażeby po stronie dawnych przeciwników z czasu wojny przyjęto system genewsko-lokarneński. To się też stało i dzięki temu mogła się rozwijać z powodzeniem polityka Stresemannowska, dzięki temu pozostanie on w historji, jako odnowiciel potęgi Niemiec po katastrofie wojennej, jako dobry i mądry syn swego narodu.

Stresemann nie mógł wprost przypuścić, by kierownicy polityki francuskiej nie rozumieli, że w interesie Francji leży pozostać na Renie, że tylko wojskowa granica na Renie zabezpiecza Francję realnie przed nową inwazją; to też żył nieustannie troską o to, by Francuzi nie wykonali tego narzuconego im przez historję planu, by nie zapragnęli okupacji utrwalić poza rok 1935.

Oto dn. 15 maja 1923 r. napisał Stresemann w *„Zeit"* takie zdanie:

„Troską istotną każdego narodu jest przedewszystkiem uratować państwo. Wyobraźmy sobie, że Francja postawi sobie pytanie, co jest dla niej ważniejsze — panować gospodarczo nad całemi Niemcami, czy panować politycznie w Nadrenji, nie będziemy wątpili ani przez sekundę w wyborze. Zapytajmy z drugiej strony naród niemiecki, czy chce odzyskać swą potęgę ekonomiczną i swe bogactwa, lecz za cenę pozostawienia Renu Francji, a wszyscy rozsądni Niemcy dadzą jednakową odpowiedź".

Zaszczyt przynosi Stresemannowi zrozumienie istoty tragicznej sytuacji. Mylił się tylko co do jednego: poza sferami wojskowemi we Francji, które nie posiadają tam decydującego wpływu na politykę, nie rozumiano — w sferach prowadzą-

[1]) W języku francuskim zbiór ten nosi tytuł: *„Les papiers de Stresemann" I. La bataille de la Ruhr. La Conférence de Londres. 1923—1924.* Paryż, *Librairie Plon*".

cych politykę czynną — powyższego zagadnienia. To było powodem powodzenia polityki Stresemannowskiej — miał naprzeciw siebie polityków, a nie mężów stanu.

Myśl jego powraca wciąż do tego podstawowego zagadnienia.

„Wyrzec się Renu—nigdy! — pisze w tym samym artykule.—Zapłacenie jednego miljarda mniej czy więcej nie jest dla nas sprawą ważną, Jak natomiast taką sprawą zachować lub utracić Ren".

W przemówieniu do przedstawicieli prasy, dn. 6 września 1923 r. powiada:

„Usposobienie ugodowe i ustępstwa we wszystkich sprawach materjalnych, bo nie bogactwo czyni naród wielkim... Lecz nieprzejednane stanowisko, gdy chodzi o obronę ziemi niemieckiej..."

W mowie, wygłoszonej w Hannowerze dnia 30 marca 1924 r., powiada:

„Często myślę o nieszczęśliwej wojnie z r. 1806 i o pokoju Tylżyckim. W tym czasie byli ludzie, którzy radzili królowi pruskiemu: Oddaj Śląsk, albo część Śląska, a wzamian za to zmniejszą ci o wiele miljonów dług wojenny! Byłoby hańbą pójść wówczas za takiemi radami, byłoby również hańbą zrobić to teraz".

A w innej mowie, wygłoszonej w tymże Hanowerze dn. 29 kwietnia 1924 r.:

„Sprawy polityczne są, według mego zdania, ważniejsze od spraw ekonomicznych. Nędznym byłby rząd, któryby się nie zdecydował na największe ofiary dla wyzwolenia Renu i Ruhry, któryby nie starał się wytworzyć warunków dla takiego rozwoju wypadków, ażeby zyskać sposobność przywrócenia Niemcom możności prowadzenia polityki aktywnej..."

Dla Stresemanna było tedy odzyskanie Renu najpierwszem zadaniem, warunkiem poprowadzenia wszelkiej sensownej i skutecznej polityki. Do tego była mu potrzebna pacyfikacja umysłów w Europie i wyrobienie Niemcom opinji narodu, usposobionego pokojowo i chcącego wykonać postanowienia traktatów. „Europejskość" była w przeświadczeniu Stresemanna warunkiem osiągnięcia celów niemieckich. To wynika z całą oczywistością z pozostałych po nim dokumentów.

Narzucało się przypuszczenie, że dla ułatwienia sobie działania politycznego wstąpił Stresemann do masonerji. Zaprzeczają temu wydawcy omawianych tu dokumentów w poniższym ustępie (str. 251):

„Przeciwnicy Stresemanna wyjaśniali pobudkami politycznemi jego wstąpienie do masonerji, tak jakby nie był zdolny do zrobienia czegokolwiek z pobudek bezinteresownych. W rzeczywistości zrobił to z przekonania"

Na dowód przytaczają (str. 252 i 253) list, wysłany przez „brata" Stresemanna do zarządu loży „Trzech Globów" po zebraniu, na którem atakowano jego politykę. Wydawcy przedstawiają rzecz tak, że Stresemann protestował przeciwko poruszaniu spraw politycznych w loży, po uważnem przeczytaniu listu dochodzimy do wniosku, że protestował przeciwko niewłaściwemu stanowisku mówców.

Mniejsza zresztą o to, jakie motywy poprowadziły Stresemanna do masonerji. To jest niewątpliwe, że należenie do niej ułatwiło mu znakomicie politykę na gruncie europejskim, zwłaszcza zaś na gruncie Ligi Narodów.

Czekamy z zaciekawieniem dalszych tomów „papierów" Stresemanna, podzielimy się z czytelnikami „Myśli Narodowej" wrażeniem, jakie przyniosą. Tymczasem możemy stwierdzić, że zapoznanie się z dokumentami z okresu lat 1923—1924 utwierdziło nas zarówno w przeświadczeniu, że Stresemann był politykiem wysokiej miary, jak i w tem, że tytułem głównym do jego chwały było to, że był przedewszystkiem Niemcem i że przewodził polityką niemiecką.

STANISŁAW KOZICKI

„HISTORJA FILOZOFJI" WŁ. TATARKIEWICZA

W UBIEGŁYM ROKU ukazała się wśród wydawnictw Zakładu Narodowego im. Ossolińskich dwutomowa „Historja Filozofji" Wł. Tatarkiewicza, profesora Uniwersytetu Warszawskiego. Ukazanie się tego dawno oczekiwanego przez studjujących i interesujących się filozofją dzieła, każe zająć się niem nie tylko jako zjawiskiem bibljograficznem, lecz również zainteresować się jego treścią i w związku z tem dać wyraz pewnym ogólnym refleksjom.

Z pośród wszystkich nauk filozoficznych historja filozofji jest niewątpliwie jedną z tych, które budzą największe zainteresowanie myślącego ogółu. Wynika to zapewne z istnienia pewnych związków między przedmiotem historji filozofji a historją kultury, między kierunkami filozoficznemi a szerokiemi prądami umysłowemi, wpływającemi na kształtowanie się i przekształcanie świadomości społeczeństw. Obok tego względu, stosowana przez historjografję filozoficzną metoda wykładu materjału filozoficznego jest przyczyną, że historja filozofji w wielu wypadkach stać się może łatwiej, niż logika, teorja poznania i psychologja źródłem informacyj dla tych, którzy chcą się zorjentować w charakterze i rozwoju problemów i kierunków filozoficznych i zapoznać się z poglądami głównych przedstawicieli filozofji.

Opracowania historji filozofji możnaby sprowadzić do dwóch zasadniczych typów: historja filozofów i ich doktryn, oraz historja kierunków i problemów filozoficznych. Cechą opracowań pierwszego typu jest monograficzne omówienie poglądów poszczególnych filozofów, podanie materjału biograficznego i zreferowanie doktryny; przykładem tego typu opracowań jest np. dzieło Diogenesa Laertiosa (III w. po Chr.) „Żywoty filozofów", oraz klasyczne dzieło Kuno Fischera „*Geschichte der neuern Philosophie*" (V wyd. 1912). Za przykład opracowań drugiego typu w nowszej literaturze służyć mogą dzieła Fr. A. Langego „*Geschichte des Materialismus*" (tłum. pol. 1881), O. Willmanna „*Geschichte des Idealismus*" (3 t. 1894 — 1897) i Kurd-Lasswitza „*Geschichte der Atomistik vom Mittelalter bis Newton*" (1892); dzieła te ujawniają tendencje do opracowania materjału raczej pod względem krytycznym i systematycznym, materjał biograficzny schodzi w nich na drugi plan, na czoło zaś wysuwają się zagadnienia i próby ich rozwiązań, realizowane w doktrynach poszczególnych kierunków.

Opracowania całości historji filozofji, mające spełniać również rolę podręczników, stanowią zazwyczaj typ pośredni: są one najczęściej historją filozofów, starają się jednak kłaść nacisk na klasyfikację systemów filozoficznych według typów

(materjalizm i spirytualizm, racjonalizm i empiryzm, dogmatyzm i krytycyzm, realizm i idealizm). Takie opracowanie daje znany podręcznik W. Windelbanda *„Lehrbuch der Geschichte der Philosophie"* (XI wyd. 1925). Próbą opracowania kierunków filozoficznych, odznaczającą się jednak pewnym schematyzmem, jest książka P. Janet i G. Séailles *„Histoire de la philosophie. Les problèmes et les écoles"* (1887), częściowo przełożona na język polski (1926).

Prof. Tatarkiewicz określa swoje dzieło w sposób następujący: celem jego jest spełnianie roli podręcznika dla studjujących i lektury dla interesujących się filozofją; ze względu na układ materjału jest to raczej historja filozofów, starająca się jednak o podanie charakterystyki i rozwoju terminów, problemów i kierunków filozoficznych. Określony w ten sposób typ historjograficzny jest zrealizowany przez autora w ten sposób, że pozwala czytelnikowi zorjentować się w charakterze problemów i tendencyj filozoficznych każdej z trzech wielkich epok myśli europejskiej i wyodrębnić z nich zasadnicze typy myślenia filozoficznego.

W krótkim rozdziale, poprzedzającym wykład filozofji starożytnej, autor daje ogólny pogląd na istotę dociekań filozoficznych. Przyjmując za zasadę klasyfikowania typów myślenia filozoficznego pogląd Arystotelesa na dwojaką genezę filozofji, autor rozróżnia dwa rodzaje twórczości filozoficznej, w których pierwszy ma swoje źródło w podziwie, drugi zaś w nieufności w stosunku do rzeczywistości otaczającej człowieka. Stąd wyrastają, zdaniem autora, dwie zwalczające się w dziejach filozofji tendencje do budowania systemów filozoficznych z jednej strony i do szukania podstaw poznania z drugiej. Przyjęta zasada klasyfikacji pozwala autorowi ułożyć ogromny materjał nie tylko w porządku chronologicznym, nie tylko według filozofów i szkół, lecz również wyodrębnić w obrębie poszczególnych okresów fazy, w których przeważała ta czy inna tendencja w pojmowaniu celu i charakteru dociekania filozoficznego. Dzięki temu „Historja filozofji" niejednokrotnie wskazuje na pewne analogje w linji rozwojowej trzech wielkich okresów, w których każdy przeszedł przez okres systematyczny, scholastyczny — w szerokiem tego słowa znaczeniu — i krytyczny.

W sprawozdaniu niniejszem chodzić będzie o danie zasadniczych akcentów przy najważniejszych dla historji filozofji zagadnieniach i o podkreślenie nowych elementów, wprowadzonych przez autora. Zasadniczą kwestją, która interesować będzie niniejsze sprawozdanie, jest pytanie: jaki pogląd daje omawiane dzieło na stosunki wzajemne poszczególnych okresów dziejów filozofji, oraz co nowego zawiera ten pogląd w stosunku do wygłaszanych na ten temat wypowiedzi w opracowaniach, które nie były oparte na szczegółowych badaniach.

Filozofja starożytna, obejmująca dwunastowiekowy okres (od VI w. prz. Chr. do VI w. po Chr.), przedstawia do pewnego stopnia typ klasycznego przebiegu rozwoju myśli filozoficznej. W VI w. prz. Chr. filozofowie jońscy stawiają pytanie o naturze świata, zawierające już w sobie potencjalnie problematy późniejszej filozofji. Pytanie to, rozpatrywane przez przedstawicieli najdawniejszej europejskiej myśli filozoficznej wytworzyło szereg problemów, które weszły,jako zasadnicze, do filozofji Platona i Arystotelesa; są niemi problem bytu, natury i powstania świata, natury ludzkiej i poznania. Filozofja Arystotelesa daje rozróżnienie filozofji teoretycznej i praktycznej, stanowiące podstawę całej późniejszej obowiązującej klasyfikacji nauk filozoficznych na fizykę z psychologją, metafizykę (ontologję) i logikę z teorją poznania z jednej strony, oraz etykę, estetykę i politykę z drugiej. Dalszy rozwój filozofji greckiej w okresie hellenistycznym i rzymskim nie wydał już syntezy, równoważnej wspomnianym dwu systemom starożytności: zmierzał on bądź w kierunku komentowania i kontynuowania myśli ich twórców (Akademja i Liceum), bądź też w kierunku tworzenia szkół, ograniczających zakres swych badań do pewnych dziedzin filozofji. W ten sposób powstaje z jednej strony, jako szczytowy punkt rozwoju filozofji Akademji, neoplatonizm, z drugiej — sceptycyzm, epikureizm i stoicyzm.

Nowy okres w dziejach filozofji rozpoczyna patrystyka. Chrześcijaństwo, będące wyrazem nowego poglądu na świat, oparłszy się wprawdzie na zwalczanej przez siebie filizofji greckiej, wprowadza nowe elementy do filozofji. Podkreślano zazwyczaj wpływ platonizmu na filozofję św. Augustyna i wschodnich ojców Kościoła, stoicyzmu — na kształtowanie się etyki chrześcijańskiej, Arystotelesa — na rozwój myśli scholastycznej, neoplatonizmu—na filozofję Djonizego ps. Areopagity i mistycyzmu średniowiecznego. Autor zwraca ponadto uwagę na wpływ sceptycyzmu, ujawniający się wśród myślicieli chrześcijańskich w ich poglądzie na wartość poznania, oraz cynizmu starożytnego w nastawieniu etycznem mas chrześcijańskich i w etyce wyrzeczenia. Autor nie ogranicza się jednak do stwierdzenia tych pokrewieństw i analogij. Zestawiając filozofję chrześcijańską z filozofją Platona wskazuje na uzgodnienie kosmogonji platońskiej z kosmogonją Genezy, podkreśla transcendentyzm i położenie akcentu na moment teologiczny w metafizyce, oraz — heteronomizm i naukę o łasce w etyce.

Te uwagi dotyczą stosunku filozofji chrześcijańskiej do starożytnej. Nasuwa się z kolei pytanie, jaki pogląd daje autor na filozofję średniowieczną i scholastykę. Jej szczytowy punkt—to filozofja św. Tomasza z Akwinu; w jego systemie filozofja i teologja znalazły harmonijne połączenie. Autor zwraca uwagę na elementy arystotelesowskie w systemie Tomasza z Akwinu, jednakże wskazuje jednocześnie na elementy chrześcijańskie i oryginalne, dzięki którym jego filozofja nie da się sprowadzić do źródeł arystotelesowskich, tkwi w niej bowiem jako rys zasadniczy pewna synteza chrystjanizmu. Filozofja św. Tomasza daje dotychczas w Kościele obowiązujący pogląd na stosunek filozofji do teologji, rozumu do objawienia, określa też stosunek autorytetu do rozumu w poznaniu filozoficznem. Wiara i wiedza stanowią dwie różne dziedziny, oparte na dwóch różnych źródłach poznania — objawieniu i rozumie. Na tych dwóch źródłach zbudowane są dwie, wzajemnie uzupełniające się, nauki — teologja, która buduje na podstawie objawienia i filozofja, która opiera się na dociekaniu rozumowem. Podniesioną przez Jana Szkota kwestję o stosunku autorytetu do rozumu rozwiązuje św. Tomasz z Akwinu twierdząc, że filozofja stosuje podwójne kryterjum metodologiczno — poznawcze—*propter auctoritatem dicentium* oraz *propter rationem dictorum*, — z których drugie ma przewagę.

Stworzenie syntezy chrześcijaństwa w systemie Tomasza z Akwinu oraz odgraniczenie zakresu filozofji od teologji przy przyjęciu założenia o ich

wzajemnej zgodności, miało decydujące dla historji myśli znaczenie. Filozofja św. Tomasza stała się oficjalną doktryną Kościoła. Tomizm jako kierunek filozoficzny rozwija się od XIII w. aż do naszych czasów. Jednakże stworzenie teorji podwójnego poznania, uzgodnienie w ten sposób filozofji z teologją, przy równoczesnem podkreśleniu ich odrębności, pewnego rodzaju równouprawnienie rozumu i objawienia, danie w ten sposób syntezy dwóch genetycznie różnych, pod względem charakteru, źródeł poznania i metody nauk — zawiera już w sobie potencjalnie kontrowersję między nauką i filozofją z jednej strony, a teologją z drugiej. Wspomniane przez autora ograniczenie kompetencji profesorów wydziału artystycznego w sprawach teologicznych na uniwersytecie paryskim w r. 1272 jest przyczyną faktu, że punkt ciężkości w sprawach filozoficznych przenosi się stopniowo na fakultety artystyczne, co w konsekwencji daje konflikty z wydziałem teologicznym, a wreszcie, w końcu XVI w., emancypację, przynajmniej formalną, filozofji od teologji.

Sprawa ta łączy się z bardzo ważnem zagadnieniem stosunku filozofji średniowiecznej do renesansowej i nowożytnej. Profesor Wł. Tatarkiewicz (I. 394) zwraca uwagę, że historja filozofji XIV i XV w., pozostając długo w zaniedbaniu, zawiera dużą ilość kwestyj spornych. Najważniejszą z nich jest stosunek późnej scholastyki do nowych prądów filozoficznych w czasach Renesansu. Dzięki badaniom P. Duhem a niema już poważnych zwolenników pogląd o dekadenckim charakterze scholastyki XIV w. i o odrodzeniu myśli filozoficznej w XV w. przez zapoznanie się ze źródłami greckiemi. Badania P. Mandonnet, Bäumkera, kard. Ehrle, K. Michalskiego, G. Théry i Grabmanna podkreślają, że proces przetwarzania się myśli filozoficznej w XV i XVI w. rozpoczął się na Zachodzie łacińskim w XIII w. i miał poważne objawy na uniwersytetach w Oxfordzie i Paryżu w XIV w. Wskazuje to niewątpliwie na pewną ciągłość, zachodzącą między filozofją XIV i XV w., wskazuje to jednak również i na to, że okres krytyki i oświecenia, który po rozkwicie scholastyki nastąpił w XIV w., rozbudzając w głównych ośrodkach dyskusje na temat zasadniczych dla tomizmu zagadnień duszy, ruchu i powszechników, — doprowadził wkońcu do zerwania z fideizmem. Badania te modyfikują w dużym stopniu tradycyjny pogląd na genezę Renesansu, nie modyfikują jednak poglądu na znaczenie filozofji XV i XVI w. w powstawaniu nowożytnej filozofji. Wskazując na antycypację filozofji XV i XVI w. w poglądach scholastyków XIV w., autor podkreślił odrębność orjentacji filozoficznej Renesansu, jako kosmo- i antropocentrycznej, w przeciwieństwie do teocentryzmu średniowiecza.

Filozofja nowożytna, którą rozpoczynają Bacon, Galileusz i Kartezjusz, zależna w dużym stopniu od ideologji Renesansu, posiada nową orjentację; na czoło zagadnień wysuwa się zagadnienie poznania. Dwa prądy nowożytnej filozofji: racjonalizm i empiryzm wydają z siebie wielkie systemy filozoficzne XVII w. (Kartezjusz, Spinoza, Leibniz), stanowiące w pewnym stopniu kontynuację tendencyj systematycznych filozofji średniowiecznej, oraz krytykę filozoficzną, rozpoczętą przez humanistów włoskich, Melanchtona, Bacona i Locke'a i znajdującą swój pełny wyraz w poglądach Hume'a i oświeceniowców francuskich XVIII w. Zwrócenie uwagi na znaczenie oświecenia, dokładne omówienie poglądów głównych jego przedstawicieli, wskazanie na związki z ideologją Renesansu jest niewątpliwie rzeczą niezmiernie ważną dla zrozumienia rozwoju myśli nowożytnej. Kant, który chce uzgodnić racjonalizm i empiryzm i przeprowadza krytykę głównych tez metafizyki w celu udowodnienia jej niemożliwości, tworzy zamiast metafizyki bytu metafizykę poznania, dając tem początek filozofji niemieckiej XIX w. Filozofja ta, wyrażająca się w systemach idealistów niemieckich (Fichte, Schelling, Hegel), jest typem filozofji, dążącej do wytworzenia pełnego systemu, typem filozofji podziwu o tendencjach maksymalistycznych. Jednocześnie jednak tradycje krytyki filozoficznej i oświecenia żyją i wydają z siebie pozytywizm — owoc filozofji nieufności o tendencjach minimalistycznych.

Gdy na podstawie historji myśli filozoficznej chcielibyśmy zdać sobie sprawę z charakteru współczesnych kierunków filozoficznych, ujawniających tendencje antysystematyczne, antykonstruktywne i nieraz „antyfilozoficzne“, to źródło tych tendencyj moglibyśmy odnieść do wspomnianej na wstępie „Historji Filozofji“, z nieufności wynikającej postawy umysłu ludzkiego. Krytyka całej dotychczasowej filozofji, podkreślenie, że systemy filozoficzne są jedynie tylko zbiorem zdań tautologicznych, nie opartych na żadnym systemie aksjomatów i określonych metodach rozumowania, znajduje swoje uzasadnienie w słusznem, jak się zdaje, a nie zawsze górę biorącem przekonaniu, że każda konstrukcja o charakterze syntetycznym winna być poprzedzana przez badania szczegółowe i analityczne. System zaś, nie dający się sprowadzić do określonych aksjomatów i do form uzasadniania swych twierdzeń, może być systemem, mającym swe miejsce w historji, dla krytycznego jednak badania filozoficznego i naukowego może nie mieć żadnego znaczenia.

Pozostaje do omówienia jeszcze pewna ważna, nie zawsze rozwiązywana przez historjografów polskich, kwestja: jakie miejsce zajmuje w historji myśli europejskiej filozofja polska. Zagadnienie to ma dwa aspekty: jaką rolę odegrał genjusz polski w rozwoju myśli europejskiej, oraz jaki był stosunek filozofji w Polsce do współczesnych jej prądów na Zachodzie. Pierwsze pytanie pozostawiamy na boku, zaznaczając jedynie, że dzięki Witelonowi i Kopernikowi można mówić o roli Polski w kulturze łacińskiego średniowiecza i Renesansu. Zasadnicze jest jednak pytanie drugie, bo nie rzadko dają się słyszeć głosy, że Polska nie brała udziału w ruchu umysłowym Zachodu.

Udział Polski w prądach umysłowych Zachodu w końcu średniowiecza i w czasach Renesansu stwierdzony został dzięki studjom W. Rubczyńskiego, J. Fijałka, K. Michalskiego, W. Wąsika. Polska w końcu XIV w. miała swego przedstawiciela okhamizmu w osobie Mateusza z Krakowa, na uniwersytecie w Krakowie wykładali w XV i XVI w. przedstawiciele skotyzmu w Polsce: Michał Twaróg z Bystrzykowa i Jan ze Stobnicy. Na rolę uniwersytetu krakowskiego w powstawaniu nauk matematycznych i przyrodniczych zwraca uwagę autor, przytaczając tekst „Kronika Świata“ Schaedla (1493), który powiada o Krakowie co następuje: „*Astronomiae tamen studium maxime viget, nec in tota Germania, ut ex multorum relatione satis mihi cognitum est, illo clarius reperitur*“.

Dużą zasługą prof. Tatarkiewicza jest zwrócenie uwagi, zarówno w omawianem dziele jak i w publikacji poprzedniej, na scholastykę polską XVII w. Scholastyka, jak wiadomo, nie przestała istnieć z chwilą ukazania się inwektyw Melanchtona i powstania nowych systemów filozoficznych. Pomijając fakt istnienia tradycyj scholastycznych w systemach racjonalistów XVII w., rozwija się ona od XVI w. samodzielnie dzięki filozofom z zakonu jezuitów (Suarez, Bellarmin, Mariana), którzy nie tylko uzgodniają w swych systemach, jak to zrobił Suarez, poglądy dwóch zwalczających się u schyłku średniowiecza i XV w. prądów scholastyki — tomizmu i skotyzmu, lecz również tworzą swą słynną teorję polityczną, stanowiącą w pewnym sensie syntezę doktryny soboru trydenckiego i renesansowej filozofji prawa. Rola scholastyki jezuickiej nie została jeszcze należycie uwzględniona w historji doktryn XVII i XVIII w., nie zostało również opracowane zagadnienie stosunku doktryny jezuitów do oświecenia; zwrócenie uwagi na polską scholastykę XVII w., jako na temat, nadający się do opracowania przez historyków filozofji, ma duże znaczenie, bo przyczynić się może nie tylko do wytworzenia poglądu na charakter filozofji w Polsce w XVII i XVIII w., lecz również wyjaśnić niejedno pytanie z zakresu historji kultury.

Omówienie polskiego oświecenia i filozofji XIX w., oraz zestawienie ze współczesną filozofją zachodnią pozwala zorjentować się w charakterze filozofji w Polsce ubiegłego stulecia. Ktokolwiek zechce zainteresować się tą sprawą, znajdzie w „Historji Filozofji" nieraz ogólne, lecz zawsze objektywne i krytyczne oświetlenie poglądów filozoficznych przedstawicieli polskiego oświecenia, romantyzmu i pozytywizmu.

Na zakończenie należy zwrócić uwagę na jeden fakt, podkreślony zresztą w uwagach końcowych przez autora. „Historji Filozofji" jest historją filozofji europejskiej. Brak jest w niej uwzględnienia starożytnych doktryn wschodnich — buddyzmu, parsyzmu i in. Ten brak uznany być jednak może za dodatnią stronę omawianego dzieła, gdyż specjalne te tematy, w obecnym stanie orjentalistyki, winny być raczej przedmiotem zainteresowań specjalistów. Podobnie sprawa się przedstawia ze średniowiecznemi poza-łacińskiemi kulturami: filozofją bizantyjską, arabską i żydowską. Te dziedziny uwzględnił autor o tyle tylko, o ile miały one związek z filozofją łacińskiego średniowiecza i o ile było potrzeba do wyjaśnienia zagadnień, związanych z rozwojem myśli europejskiej.

ADEODATUS

DZIEŁO PROF. ZIELIŃSKIEGO

NIEMA W POLSCE takiego miłośnika klasyczności, któryby nie pragnął w bibljotece swej skompletować dzieł prof. Tadeusza Zielińskiego. Tomy te, które dotychczas w języku polskim wyrosły, mogłyby we wspomnianej bibljotece zapełnić sporą półkę; przejmują nas one coraz większą chlubą i radością, gdyż wielki uczony, który dawniej w obcej wypowiadał się mowie, teraz staje się nam coraz bliższy i językiem i tematem prac swoich. Od lat kilku otrzymujemy już nie przekłady jego dzieł (niezawsze szczęśliwą ręką dokonane), ale dzieła napisane oryginalnie po polsku, polszczyzną coraz to kształtniejszą, która ostatnio — pomimo drobnych naleciałości rosyjskich — doszła już niemal do mistrzostwa. Mickiewicz, w którego dziełach rozczytywał się żarliwie Zieliński od lat najmłodszych, Sienkiewicz i Reymont, którym poświęcił przepiękne studja, — zrobili swoje...

I jeszcze był ktoś... Przyjaciel i może rywal jednocześnie — o nazwisku równie czcigodnem dla każdego nietylko filologa, ale i Polaka. Ten, którego pamięci poświęcił prof. Zieliński jedną z najciekawszych i najgłębszych swych książek: monografję o Sofoklesie (Kraków, Sp. Wydawnicza Krakowska, 1929). Był nim ś. p. prof. Kazimierz Morawski.

Te dwa nazwiska będą iść razem w dziejach polskiej nauki i literatury. Nietylko dlatego, że zdobyły one sobie, niemal współcześnie, sławę światową, ale i dlatego, że na terenie samej Polski czyny i zasługi tych dwóch ludzi — tak różnych zresztą i temperamentem pisarskim i sposobem ujmowania pewnych kwestyj, czy nawet i poglądami — są w wielu wypadkach podobne. Obaj są nietylko uczonymi o wybitnych literackich zdolnościach, ale też szermierzami wzniosłych haseł, wielbicielami i apostołami dobra i piękna, a przytem wybornymi pedagogami w zakresie swej fachowej specjalności.

Wśród dzieł, które ci dwaj ludzie dali naszemu społeczeństwu, dwa zwłaszcza wiążą się z sobą już samym tematem. Są to właśnie te dwa dzieła, które są nieodzownem *vademecum* nie tylko dla każdego studenta filologji klasycznej czy wogóle humanistyki, ale i dla każdego, kto rad odświeżać swój umysł u źródeł wielkiej kultury. Dziełami temi — prawdziwie klasycznemi w pełnem tego słowa znaczeniu — są dwie „Historje literatury": łacińskiej Morawskiego i greckiej Zielińskiego[1]).

Dzieło prof. Zielińskiego, obejmujące zarys dziejów literatury greckiej, teraz dopiero ukazało się w całości[2]). Już od paru lat znaliśmy część pierwszą: literaturę Grecji niepodległej; obecnie dostaliśmy część drugą, w której mowa o literaturze greckiej z t. zw. „okresu powszechnego". Na te dwie epoki rozpada się historja starożytnej literatury i wogóle kultury greckiej — przedzielona Cheroneją. Jest w tem pewna analogja do literatury polskiej; i tu bowiem ma rację podział na dwa okresy: niewoli i niepodległości. Ale proporcja jest raczej odwrotna: upadek niepodległości zdławił i obniżył literaturę grecką, natomiast polskiej literaturze ból niewoli dodał bodźca do szybszego biegu...

Ale podział powyższy jest uzasadniony nietylko miarą samego napięcia twórczości w obu okresach. Są pomiędzy niemi jeszcze inne różnice. Literatura okresu pierwszego — za lat Homera, Ajschylosa,

[1]) Pierwsza z nich, niestety, już od lat kilkunastu wyczerpana w pierwszych swoich tomach. Podobno ostatniemi czasy pomyślano o wydaniu ponownem.

[2]) Tadeusz Zieliński: „Literatura starożytnej Grecji epoki powszechnej. Zarys ogólny". Warszawa. 1931. Wydawnictwo J. Mortkowicza.

Sofoklesa czy Demostenesa — była literaturą narodu greckiego; literatura grecka późniejsza była literaturą kosmopolityczną. Język grecki przestał wyrażać myśli i uczucia tej żywej i ruchliwej rodziny plemion greckich, która jedność swą dawniej zaznaczała tak silnie czy na miejscach obrzędów religijnych, czy na terenie igrzysk olimpijskich, czy przedewszystkiem na polu walk z Persami. Językiem tym posługiwali się odtąd nietylko Grecy. Po grecku piszą Chaldejczycy (Berosos), Egipcjanie (Manethon), a nawet Rzymianie (Fabius Pictor), nim zdobyli się na własną literaturę. Ba, ironja losu chciała, że w tym właśnie języku dochował się najstarszy, znany nam dziś tekst Starego Testamentu (t. zw. „przekład siedemdziesięciu tłumaczy“ — *Septuaginta*) „ułożony na przeszło tysiąc lat przed rabińską redakcją tego ostatniego“ [3]). Sama nazwa tego języka — „narzecze powszechne“, *kojne dialektos* — wskazuje nam na jego kosmopolityzm. Nawet purystyczny zwrot ku attycyzmowi, szerzący się za cesarstwa wschodniego, gdzie językiem urzędowym był grecki (w przeciwieństwie do łacińskiego zachodu), nie przynosi powrotnej fali poczucia narodowego — trzeba było na nie czekać ponoś aż do czasów Ypsilantiego i Byrona...

Hellenizować się począł od czasów Aleksandra Wielkiego obszar lądów, zwany popularnie „światem starożytnym“. I zhellenizował się wkońcu wszędzie, w większym lub mniejszym zakresie. Świat ten zapewne na tem zyskał, Grecy zaś sami byli raczej stratni. Stratni nietylko politycznie, nietylko moralnie, ale i kulturalnie. Pogodzili się z niewolą i rzadziej rozwijali skrzydła do lotu. Za defetyzmem politycznym, przyszedł defetyzm myślowy, za niemi zaś polityczny i myślowy oportunizm. Pod znakiem tym zaczynają iść teraz kolejno nietylko poezja i wymowa, w których o panegiryzm najłatwiej, ale — co gorsza — historja i filozofja. Pierwsze dwie ze wspomnianych tu gałęzi literatury, zatamowane w swym rozwoju, wyżyte już zresztą i wyższych dążeń pozbawione, wpadają w coś w rodzaju *spleen*'u; szukają doznań jeszcze literacko „niewyzyskanych“, wysilają swą pomysłowość na błahe często, choć jednocześnie karkołomne sztuczki retoryczne, a w gruncie rzeczy przeważnie nudzą i siebie — i nas.

Całe szczęście, że w owej dobie „uczonej“, czysto intelektualnej poezji jawi się poeta z urodzenia, który w oparciu o ziemię ojczystą — w regjonalizmie sycylijskim, jak byśmy dziś powiedzieli — tworzy rzeczy naprawdę świeże i do duszy przemawiające. To Teokryt. Był on jednak tylko meteorem... Nadmienię, że wysunięte przez prof. Zielińskiego (str. 42) zestawienie „okresu aleksandryjskiego“ z dzisiejszym okresem naszej literatury wydaje mi się trafne ze względu nietylko na charakter tej literatury, ale i na kontrast, jaki ona tworzy z poziomem okresu poprzedzającego...

W t. zw. „okresie rzymskim“ literatura grecka się ożywia dość znacznie, ale ożywienie to przyszło nietyle stamtąd, gdzie go poszukiwano, ile z innych zgoła źródeł. Przedewszystkiem z tego źródła, które jeżeli nie wyłącznie, to w największej mierze przyczyniło się już przedtem do powstania poezji i filozofji. Oto jakby przez reakcję do sceptycyzmu, zamykającego okres aleksandryjski, zaczyna się budzić w społeczeństwie — religijność. Najważniejszą rolę odegrało tu oczywiście chrześcijaństwo. Wypowiadać się ono poczęło od samego początku przedewszystkiem w języku greckim — i odrazu stało się obok hellenizmu głównym czynnikiem kulturalnym świata. W zrozumieniu nieporównanej z niczem misji moralnej, społecznej i humanitarnej, jaką spełniły święte księgi Nowego Testamentu, prof. Zieliński poświęca im jedne z najpiękniejszych, a jednocześnie najzwięźlejszych miejsc swej książki, wzruszenie nie pozwala mu mówić o tych księgach, jako o dziełach, należących też — do piśmiennictwa greckiego. A przecie te księgi — o Ewangeljach głównie tu mówię — przyniosły pokrzepienie, świeżość, siłę i podnietę nietylko myślom i uczuciom ludzkim, ale i — estetyce. Prosty styl przypowieści Chrystusowych był pożądanym kontrastem rozpanoszonej naówczas retoryki, a ich obrazowość, tło i temat stanowiły też nowość prawdziwą i dawały tworzywo poezji i sztuce pokoleń.

Pokolenia te jednak przyszły dopiero później. Chrześcijaństwo pierwotne nie miało na oku żadnych celów literackich. W okresie rzymskim — mówiąc ściślej: za cesarstwa aż do Konstantyna — ograniczało się do wykładów nauki i do apologetyki, później zaś miało punkt ciężkości w teologji, filozofji, kaznodziejstwie. Jan Złotousty jest punktem najwyższym tej literatury i jednocześnie zamyka starożytną literaturę grecką. Atoli bądź we współzawodnictwie z chrześcijaństwem, bądź niezależnie od niego, przepływają przez świat hellenistyczny inne jeszcze prądy religijne; neoplatonizm i gnostycyzm są wśród nich najciekawsze. „Sakralizacja literatury“, o której często napomyka prof. Zieliński, wdziera się w dziedziny napozór dalekie od spraw religijnych; widzimy ją i u takich pisarzy, jak Plutarch i Lucjan.

Kwestje religjonistyczne, jak wiadomo, zawsze obchodziły prof. Zielińskiego bardzo głęboko. Poświęcił im przecie cykl cały pod tytułem „Religje świata antycznego“. Z tomem przez nas omawianym wiążą się szczególnie dwa ogniwa tego cyklu: „Religja hellenizmu“ oraz „Hellenizm i judaizm“, ponadto cały cykl studjów „Współzawodnicy chrześcijaństwa“. Dzieła te powinno się wziąć do ręki po przeczytaniu „Literatury epoki powszechnej“, zwłaszcza w „Hellenizmie i judaizmie“ można pomimo odległości wieków znaleźć rzeczy niektóre bardzo aktualne. I tu się znów nasuwa analogja z niektóremi pracami ś. p. Kazimierza Morawskiego, zwłaszcza z książką „Rzym i narody“. Niektóre książki prof. Zielińskiego możnaby opatrzyć tytułem „Grecja i narody“.

O książce Zielińskiego, którą jako utwór literacki czyta się z prawdziwą przyjemnością, a jako dzieło naukowe—z pożytkiem, chciałbym dodać jedną jeszcze uwagę. W założeniu swojem i przeznaczeniu jest ona podręcznikiem. Jako taki spełnia ona swe zadanie wybornie; pod względem dydaktycznym jest wprost wzorowa. Przejrzystość układu, jasność w wypowiadaniu sądów, unikanie balastu erudycji i przypisków czynią dzieło to przystępnem dla każdego. Wśród wielu zalet, jakie od umiłowanych Hellenów przejął Zieliński, zaleta przystępności nienajmniejszą jest cnotą.

JÓZEF BIRKENMAJER

[3]) Wiadomo, że tekst Starego Testamentu, jakim dziś posługują się Żydzi, pochodzi dopiero z VII i VIII wieku po Chrystusie, więc jest późniejszy — a tem samem i mniej wiarygodny — od Wulgaty św. Hieronima (w. V. po Chr.)

NA WIDOWNI

Zagadnienie regjonalizmu. — Jak to było dawniej? — Praca w Obrzydłówku. — Tendencje separatystyczne. — Trzeba wprzód wiedzieć, jaką ma być Polska. — Czynnik regjonalny jest subjektywny, psychiczny, uczuciowy. — Nie wolno robić regjonalizmu objektywnego.

KWESTJA modnego dziś „regjonalizmu“ robi sporo zamętu w głowach z tego powodu, że wdali się w nią ludzie, którzy magją tego nowego słowa i mody pragną pokryć tendencje polityczne rozdrobniania Polski na prowicje według odrębności etnicznych. Pod kątem regjonalizmu traktuje się teraz krajoznawstwo, a teoretycy regjonalizmu dostają ordery. Inteligencja prowincjonalna, pracująca kulturalnie w swojem środowisku, chętnie szuka tytułu swej pracy w tej nazwie, ale rodzą się spory, co ono znaczy. Zwracają się ludzie do „Myśli Narodowej“ o wyjaśnienie.

— — — — — — — — — — — —

Zacznę od pewnych danych historycznych i wspomnień.

Pod koniec ubiegłego stulecia powstał w naszym kraju ruch ideowy w kierunku podnoszenia poziomu cywilizacyjnego na prowincji. Chodziło nadewszystko o lud wiejski, aby go w drodze oświaty zbliżyć do sfer oświeconych i uruchomić jego sumienie obywatelskie. Mam na myśli usiłowania w zaborze rosyjskim. Jednocześnie jednak miano na uwadze inteligencję, mieszkającą na wsi i po miasteczkach; szukano na prowincji sił, któreby własną inicjatywą, bodaj wysiłkiem bohaterskim, ale przedewszystkiem pracą kulturalną, wyrwały z marazmu chore już, pozbawione opieki własnego państwa, społeczeństwo.

Ten ruch ideowy począł się w „Głosie“ warszawskim (1887 — 1899), wynikał zaś z ruchu ogólniejszego, któremu popęd dawał silny wzrost samopoczucia narodowego.

Ten zwrot umysłów do rzeczywistości zaczął się już wcześniej, w czasach pozytywizmu w literaturze i sztuce, kiedy Dygasiński z jakiegoś przeczucia (nie był przecie działaczem politycznym) dał pochop do studjów nad ludem, kiedy Gierymski malował realistycznie Powiśle, kiedy Witkiewiczowi rodziło się w oczach Podhale („Na przełęczy“) i t. d.

W „Głosie“ głównym tematem był lud, młodzież tworzyła związki tajne w celu poznawania ludu i szerzenia oświaty (słynny „Zet“, którego tradycjami dotąd żyjemy). W latach 1890--91 w „Listach do przyjaciela na prowincji“ dałem początek ankiecie, jak poruszyć do życia umysłowego inteligencję prowincjonalną. Wtedy to symbolizowało się prowincję jako „Obrzydłówek“ (z noweli Żeromskiego), który wszedł w przysłowie.

Był w tych listach skromny program praktyczny: 1) budzić ambicje prowincjonalne (lokalne), 2) zakładać miejscowe muzea, jako magazyny naukowe, jako stałe kolekcje oświatowo-pedagogiczne, z tablicami złotemi, na które wpisywałoby się nazwiska ludzi miejscowych, dla kraju zasłużonych.

Rozwinąłem tę myśl szerzej i szczerzej, niż to można było zrobić pod cenzurą, w „Nowej Reformie“ krakowskiej w roku 1892, a potem w broszurze „W sprawie oświaty ludu wiejskiego“ (Kraków 1892). Drugą część tej broszury poświęciłem idei pracy naukowej lokalnej, którаby mogła zatrudnić wszystkie siły intelektualne lokalne i obudzić przez działanie, miłość do kąta rodzinnego, wytworzyć więź uczuciową ze środowiskiem, obudzić ambicję współzawodnictwa o lepsze z innemi lokalnościami.

Przytaczałem obszernie przykład działalności Groult'a we Francji (z Lisieux, Calvados), który od r. 1876 do r. 1890 założył w południowej Francji i w Algierze sto kilkadziesiąt muzeów prowincjonalnych, wydając przytem specjalne czasopismo. Motywem działalności Groult'a było przerażenie na widok pożerania prowincji przez wielkie miasta. Dzwonił na alarm, a ratunek widział w decentralizowaniu ognisk cywilizacji.

Ideą tą bardzo się przejął kolega mój Stefan Żeromski, a ślady tych zainteresowań jego znajdują się w jego korespondencji i artykułach (ob. książkę o Żeromskim Noyszewskiego, „Elegje“ w wyd. Borowego), a potem w broszurze o snobimzie.

— — — — — — — — — — — —

Ruch tamten, jako postać organicznej pracy narodowej, wydał dobre rezultaty, któremi jednak nie będę się tutaj zajmował, — i przetrwał wojnę. Musiał przetrwać, a nawet rozwinąć się w warunkach niepodległości, bo jest psychiczną cząstką dążeń do odrodzenia narodu. Ale — i tu jest moment ważny — ruch ten splątał się z innem dążeniem, mianowicie ze spekulacją na separatyzm. Nazywam to dążenie spekulacją, bo wypływa ono z doktryny liberalistycznej wyzwalania jednostek i grup z „ucisku“ cywilizacji narodowej.

Rzecznicy tego hasła, nastawieni zasadniczo odśrodkowo, wychowani w atmosferze dążeń międzynarodowych, marzący o Europie kantonalnej, nie zdają sobie najczęściej sprawy z tego, w jakiej mierze doktryny ich zależne są od wpływu czynników politycznych zewnętrznych, którym zależy na tem, aby Polska (szczególnie Polska) nie była tworem cywilizacyjnie jednolitym.

Hasło to brzmi: „regjonalizm“.

Żaden wyraz nigdy nie jest szkodliwy sam przez się. Chodzi o pojęcie pod spodem, — o rzecz samą. Można przyjąć ten wyraz do słownika i obrotu potocznego, ale trzeba wiedzieć, jaką mu dać treść.

„Regjonalizm“ w znaczeniu separatystycznem jest u nas absurdem, nawet zbrodnią polityczną, a gdy go powtarzamy bez zastanowienia w tym charakterze — jest snobizmem, uwłaczającym godności cywilizowanego Polaka, który przecież powinien rozumieć elementarny interes Polski. Zostawić trzeba to pojmowanie międzynarodówce, żydom, wędrownej szkole p. Coudenhove-Calergi, jeśli komu ta szkoła przynosi zaszczyt. Poczciwi Polacy biorą się na fałszywe hasła uczuciowo. Mianowicie w tym wypadku tłumaczą im, że wszelkie formy unijnego stosunku są wyższe od posiadania integralnego. Róbcie więc separatyzm, wywalczcie dla regjonu autonomję cywilizacyjną i polityczną, oderwijcie go od całości, aby potem się z nim złączyć przez federację, czy unję. Nie dopowiadają tylko prawdy: — aby się w rezultacie z tym regjonem rozstać nazawsze, oddawszy go pod cudze wpływy. Ideolodzy tego typu uczeni są historji tak, jakoby dawne nasze unje nie były kompromisem dziejowym, z konieczności ówczesnej wypływającym, lecz modą na unję...

Trzeba się więc orjentować, o jaki regjonalizm nam chodzi, do czego dążymy: czy do osła-

bienia więzi moralnej między ziemiami, czy też do konsolidowania ich i spojenia. Czy mamy z dziejów robić centryfugę, czy też chcemy wykonywać przekazy dziejowe Chrobrego, Łokietka, Kazimierza Wielkiego. To nie jest bynajmniej alternatywa do politycznego wyboru, lecz zagadnienie sumienia narodowego, bez którego do żadnej pracy cywilizacyjnej zabierać się nie można.

Zanim się masz stać „regjonistą", namyśl się, cobyś chciał zrobić z Polską.

— — — — — — — — — — — —

Kiedy sobie w ten sposób teren zagadnienia przygotujemy, możemy przejść do jego istoty.

Przedewszystkiem, co to jest regjon? Pojęcie geograficzne — nieprawdaż? Ale czy ono sięga do geografji fizycznej? Czy was, gdy mamy na myśli zjawisko życia społecznego, interesuje np. sprawa geologji kraju? Nie, nam bowiem chodzi o ludzi, o ich motywy twórcze w stosunku do ziemi. W każdym razie nie wychodzimy poza antropogeografję. Ale przecież i tutaj obojętne są nam takie rzeczy, jak formalny podział administracyjny obecny, a tem mniej podział, jaki zrobili zaborcy kordonami. Ten ostatni nawet — odwrotnie — pragnęlibyśmy przezwyciężyć, usunąć z tradycji. Tak czy owak nie zdołamy zrobić dla naszego regjonu żadnego wykresu objektywnego.

Regjon, jako pojęcie życiowe, bo takie nas interesuje, jest czemś ruchomem, jak widnokrąg.

Co jest moim regjonem, o tem mi mówi moja dusza. Jeśli się nas zbierze w zespół więcej ludzi z podobnem nastawieniem i objęciem duszy, — będzie to nasz wspólny regjon.

Ale i tu rzecz wymaga ściślejszego określenia. Ludzie cywilizowani mają widnokrąg duchowy otwarty na cały świat, w każdym razie regjonem stałym dla ich duszy jest cały kraj własny. W naszym regjonie, o którym mówimy, jest coś bardziej szczegółowego psychicznie: — jest pierwiastek osobisty przeżyć bezpośrednich, to coś geograficznego, co się narzuca naszej wyobraźni, jako podręczna miara przestrzeni, co obejmujemy wokamigu — sercem. Regjon — to geografja mojego serca osobistego. Tam też jest i historja, mała, z pod serca historja tego kawałka kraju; tam też jest troska o jego przyszłość.

Usuńmy z tego koła, które mienimy regjonem, człowieka, będącego w jego centrze wraz z promieniem uczuciowym, którym on to koło zakreśla, a pozostanie mapa geograficzna, którą możemy dzielić objektywnie na najrozmaitsze części, na siebie zachodzące i nazywać je nawet regjonami, ale to z regjonem, o który nam chodzi, nie będzie miało nic wspólnego.

Regjon, jako czynnik psychiczny w życiu, jest kwestją s t o s u n k u u c z u c i o w e g o człowieka do jego środowiska geograficznego.

— — — — — — — — — — — —

Z tego określenia regjonu wynikają pewne wnioski co do ideologji i praktyki regjonalistycznej. Oczywiście wszystko, co o tem mówię, ma na widoku ludzi cywilizowanych, którzy traktują życie w sensie rozszerzającym je, nie zaś zwężającym, którzy nie uciekają od świata do parafji, widząc w niej swą metę, lecz ten swój kąt geograficzny uważają za punkt wylotu dla swoich aspiracyj i za placówkę w systemie ogólnym cywilizacji narodowej, placówkę, względem której mają bezpośrednie obowiązki. Tendencje rozwojowe życia mają kierunek ku górze, idą za popędem ruchu cywilizacyjnego, wciągającego energję twórczą w górne dziedziny ciągle budującej się całości, przeznaczonej dla całego „regjonu" narodowego i dla stosunków jego zresztą świata.

Na tem polega wielka ambicja twórcza, na tem — patrjotyzm czynny. Ale utrzymuję i poddaję to pod uwagę: czcze są gadania o duszy wielkiej *in abstracto*, gdy jej wielkości nie widać *in concreto*. Nie budzą zaufania aspiracje twórcze na wielką miarę, gdy nie wytrzymują próby rzeczy drobnych i bezpośrednich. Nie wierzę w miłość intelektualną (z wyobrażeń) dla całego kraju, gdy jej nie widzę wcielanej w rzeczy najbliższe, lokalne, konkretne.

Bo wszelka inna miłość bez wcielenia
Jest upiorowem myśleniem myślenia...

Cywilizacja nie jest dziełem ludzi teoretycznych, lecz twórczych, a twórczym jest człowiek miłujący. A gdzież szukać próby ludzkiego serca, jak nie w pracy na rzecz środowiska najbliższego, z którem łączą przeżycia bezpośrednio? Tutaj człowiek zdobywa dynamikę swego rzutu w świat.

Rozmaite są motywy psychiczne, które łączą jednostkę (i grupę) z daną miejscowością. Najpospolitszy motyw, k r a j l a t d z i e c i n n y c h. Ten nie wymaga uzasadnienia. Silny musi być powód „zżycia się" przez długotrwałą pracę. Miłość do środowiska rośnie w miarę, im więcej człowiek z siebie mu daje. Ale potężny też bywa zrost uczuciowy wskutek przeżyć u c z u c i o w y c h n a t u r y e s t e t y c z n e j. Mam na myśli artystów, którzy kreują regjony specjalne według pewnych wartości estetycznych.

Wzruszenia artystyczne są skrótami przeżyć tak intensywnych, że porywają potem autochtonów, którzy wieki żyjąc w tem otoczeniu, do uświadomienia ich piękna nie doszli. Mamy przykład na Podhalu, albo na Świętokrzyskiem Żeromskiego.

Bardzo ważną postacią regjonalizmu są g n i a z d a s z k o l n e, zwłaszcza gniazda szkół średnich. Rozrzucone po całym kraju są one naturalnemi centrami pewnych kolisk regjonalnych. Siła uczuć, która wychowańców z temi miastami i z okolicą wiąże, jest tem większa, że to zarazem zwykle miejsce lat dziecinnych.

Stowarzyszenie kolegów, którzy różnemi czasy te szkoły ukończyli, są najbardziej typowym wyrazem dążeń regjonalistycznych. Widzę w nich doskonały sposób zużytkowania elementarnych uczuć ludzkich na cele kultury społecznej i historycznej, związki te bowiem nietylko są instytucjami samopomocy, ale przędą nić tradycji i wplatają w siebie pokolenia. Psychologja gniazd szkolnych stanowi bardzo poważny czynnik strukturalny w budowie cywilizacji narodowej.

— — — — — — — — — — — — — —

Nigdy nie myślałem, że z tem, co się niegdyś robiło, co było już faktem rzeczowym w rozwoju stosunków, będę miał po kilkudziesięciu latach kłopot, jak to nazwać. Zdajmy sobie bowiem sprawę z tego, że w obecnych czasach zbyt często wychodzimy z założeń nominalistycznych.

Życie „regjonalne" (czy prowincjonalne) należy, jako stały fakt, do struktury cywilizacji, która przecież nie jest czemś abstrakcyjnem, lecz ma oparcie o lokalność. Cywilizacja jest zjawiskiem w czasie i przestrzeni. Po wszystkie czasy j e j ż y w o t n o ś ć, to znaczy jej organiczność narodo-

wa, znajdowała się w prostym stosunku do udziału twórczego sił, rozpierzchniętych po kraju, a z drugiej strony—w czasie—do ścisłości związków między pokoleniami.

Czasy nowożytne tem różnią się w tym względzie od staroświeckich, że inicjatywa społeczna, idąca od sfer oświeconych, zdolna jest uskuteczniać rozmaite formy organizowania sił twórczych. I dobrze jest, że czasy nowsze na te najtrudniejsze pola prowincjonalne baczniejszą zwracają uwagę, a nawet specjalną nazwę dla niej znajdują. Nie można jednak w tych poczynaniach pomyśleć na serjo czegoś, co byłoby przeciwne naturze pracy cywilizacyjnej, trwającej od wieków, od czasów choćby wprowadzenia chrześcjaństwa.

A więc za pracę twórczą regjonalną uważać należy tylko tę, która jest wewnętrznie, z najgłębszych pobudek moralnych, zamierzona na zasilenie cywilizacji ogólnej narodu. Za punkt wyjścia może ona brać wszystko, co budzi w jej ludziach wolę twórczą przez ożywianie jej uczuciami przywiązania do swego zakątka, przez ambicję współzawodnictwa o lepsze z innemi regjonami, przez szczególne wzruszenie, jakie daje ocena wartości skarbów piękna w przyrodzie, czy w dziedzictwie historycznem. Wszelkie osobliwości lokalne, czy odrębności z tego stanowiska są wartością, którą wola twórcza regjonu dobywa z ukrycia i wznosi na wyższy szczebel użytkowania i wartościowania cywilizacyjnego. Do tej kategorji należą—w rzędzie osobliwości przyrody i jej darów — odrębności etniczne, które zbogacają cywilizację narodu.

Na wszystko znajdzie się miejsce w wielkiej cywilizacji i wszystko może być przez nią właśnie obrócone na pożytek regjonu.

Praca regjonalna ma sens rozwojowy tylko wtedy, jeżeli nie przeradza się w partykularyzm, a co gorsza, w separatyzm, lecz uważana jest za szczebel w budowie ogólnej. Psychika pracy regjonalnej, gdyby nic innego do życia cywilizacji nie wniosła, jak tylko to, co jest jej podstawą, — miłość ziemi i entuzjazm tworzenia, — już spełniłaby swoją misję. Cywilizacji bowiem narodu potrzeba do życia ciepła, nie tylko światła, potrzeba tych wartości, jakie przynosi życie, konkretne umiłowanie czegoś, konkretne wcielenie. Inaczej będzie chłodnem i ciągle improwizowanem, „upiorowem myśleniem myślenia".

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

OSUWAJĄC SIĘ NA ZIEMIĘ z pięciu czy sześciu kulami rewolwerowemi w ciele, Prezydent Doumer odezwał się — retorycznem napozór, jakgdyby ze stylistyki dramatów Racine'a pożyczonem pytaniem: — „Czy to możliwe?" — W istocie, tych kilka kul, które tak szybko wystrzelił w ofiarę swą sprawca zamachu, stanowiło dostatecznie przekonywający dowód rzeczowy. Mówi to nam coś o klimacie cywilizacji zachodniej, i o duchu nowoczesnej Francji, że Prezydent jej upadał pod strzałami—tak zdziwiony. W Europie Środkowej, na wschód od Francji i Anglji, zamach na Prezydenta niemniejsze wywołałby zapewne oburzenie, — niemniej szczery odruch potępienia — ale oburzenie na zamach, a zdziwienie, to dwie rzeczy różne, i o czemś innem świadczące. Trwałość urządzeń politycznych w tych państwach, dalej od Zachodu leżących, jest mniejsza, styl cywilizacji bardziej popsuty brakiem ciągłości rozwoju, i przymieszkami obcemi a niedość wchłoniętemi przez cywilizację rodzimą. Łatwiej w państwach tych o kontrasty jaskrawe między cywilizacją wysoką, a barbarją — zwłaszcza w sferze przejawów życia politycznego. Tu najmniej było ciągłości, stosunkowo wiele zmian gwałtownych, rujnujących zaczątki tworzących się zwyczajów politycznych. Podnieść można w odpowiedzi, że i we Francji obecny system urządzeń politycznych jest świeżej stosunkowo daty, i że przyszłość jego wydawać się może niepewna. Bezwątpienia,—ale w związku z tem pamiętać należy o jednem: trwałości urządzeń politycznych nie gwarantuje sam upływ czasu. Nawet krótki okres ciągłości rozwoju więcej znaczy, niż wieki szarpaniny. Historja okazuje mnóstwo przykładów na poparcie tej tezy, zwłaszcza w cywilizacjach izolowanych, które po najeździe obcym, czy zamieszkach wewnętrznych mogły się na jakiś czas niejako zamknąć, osiągnąwszy pewien stan harmonji rozwoju. Na charakterze Anglika np. okres cywilizacji protestanckiej, niczem prawie niezakłócony nawewnątrz wyspy, pod wielu względami bardziej zaciążył, niż dwakroć dłuższy w dziejach Anglji okres cywilizacji katolickiej, kiedy ciągłość rozwoju politycznego często się rwała. Uwzględnić więc należy możliwość, że i urządzenia polityczne Trzeciej Republiki, oraz różne swoiste formy cywilizacji narodowej, jakie utrwaliły się pod tym *régime*'m — o wiele mogą być mocniejsze, niżby to uzasadniała sama tylko sześćdziesięcioletnia długość trwania *régime*'u. Był to okres dość krótkiej wprawdzie, ale względnej ciągłości rozwoju. Nawet wielka wojna nie wywołała poważnego wstrząśnienia w tej cywilizacji republikańskiej. Suma zwyczajów współżycia politycznego, wyrobionych w tym okresie, może być niestosunkowo wielka. Między innemi prawdopodobnie pożegnać się należy z zakorzenioną u nas ideą, że południowy temperament francuski szczególnie sprzyja dokonywaniu zamachów, aktów terroru, czy nawet wogóle przewrotów. Cywilizacja narodowa okiełznała te popędy tak, że aktów samorzutnego gwałtu bez porównania mniej zdarza się dziś w życiu politycznem Francji, niż w Niemczech, mniej też z pewnością, niż w Polsce. Padło wprawdzie dwu prezydentów z rąk zamachowców, ale obcych: Sadi-Carnot — Włocha, Doumer — Rosjanina. Nadewszystko ważne to, że jest we Francji potężna wspólnota cywilizacji narodowej, potężna norma, panująca nad niezliczonemi zewnętrznemi przejawami kłótliwości i małości. Gdy tak mocna rzeczywistość tej cywilizacji, cennem wiązadłem struktury politycznej może być mało znany w niektórych klimatach politycznych, czynnik zaufania. Pytanie, niby retoryczne, jakie w ostatnim przebłysku świadomości, padając pod kulami barbarzyńcy wschodniego, sformułował Prezydent Doumer, zaświadczyło heroicznie o realności tego czynnika w umyśle Francuza.

SUKCES DYPLOMATYCZNY... Polak, z taką przyjemnością wczytujący się u Niemcewicza w opisy uroczystych wystąpień zagranicą posłów dawnej Rzpltej, niechże sobie przeczyta opis ślubu przedstawiciela Polski w Paryżu, p. Anatola Milsztejna, z baronówną Djaną Rotschildówną. Ślub odbył się w maju 1932 r. w Synagodze

z wielką wystawnością. Drużbami p. młodego byli min. Zaleski i ambasador Chłapowski. Cały Paryż, cały świat podziwiał ten nowy sukces polski.

Żydowski „Nasz Przegląd” podaje chełpliwie szczegóły z życia rodziny Milsztejnów, urodzonych na Solcu w Warszawie. Stary Milsztejn był handlarzem drzewa, obecnie mieszka w Palestynie. Jeden z synów, Szmul, przechrzścił się, ożenił z jakąś hrabianką i nazywa się teraz Stanisław Milecki. Najmłodszy Naftali, obecnie Anatol, był „typowym chłopcem z rodziny chasydzkiej. Nosił długie poły, aksamitną czapkę i pejsy”. Przed kilku laty, kiedy był radcą poselstwa w Belgji, „ożenił się z córką burmistrza Brukseli. Król belgijski tańczył podobno na tem weselu”. Małżeństwo się rozeszło; teraz — z Rotschildówną. Na ten ślub, jak podaje „Nasz Przegląd”— rozesłano 2000 zaproszeń.

„Młoda para — według „Naszego Przeglądu”— otrzymuje na własność jeden z pięknych pałaców rotschildowskich, 5 mil. franków i rentę roczną wysokości jednego miljona”. P. Anatol Milsztejn — tak kończy się komunikat żydowski—ma być delegowany do Ligi Narodów na stanowisko po Fr. Sokalu.

Zagadka do rozwiązania: Czyim faktycznie delegatem będzie p. Milsztejn? Boć żydzi ogłosili się za osobny naród.

NA MAleńKICH PRZYKŁADACH WIDAĆ OD CZASU DO CZASU DOSKONALE, jak bardzo ucierpiały u nas pojęcia o państwie w dobie obecnej. Właściwie cała treść tych pojęć, urobiona przez cywilizację zachodnią, z niektórych głów wywietrzała: zastąpił ją improwizowany, a jedyny dogmat, że „państwowe“ znaczy „pro-rządowe“. Czy przesadzamy? Weźcie oto maleńki przykład: artykuł Kadena w niedzielnej „Gazecie Polskiej“, p. t.: „Rozmowa obywatela z profesorami“. Obywatelem jest — Hołówko, autor pośmiertnie wydanego tomu „Ostatni rok“, nie są obywatelami — profesorowie. Ci ostatni ogłosili, jak wiadomo, list otwarty w sprawie Brześcia; Hołówko w odpowiedzi opracował wywód, teraz dopiero podany do publicznej wiadomości. Nic charakterystyczniejszego, jak ta łatwość, z jaką w oczach recenzenta — Kadena profesorowie uniwersytetu Jagiellońskiego, krytykujący posunięcie rządu, wypadli z liczby obywateli. I to w „Państwie“, które, jak o tem słyszymy z niezliczonych zapewnień sanacyjnych, — nie zna mniejszości, zna tylko obywateli. Lecz mniejsza o ten instynktowny prymitywizm pojęć, ukazany w tytule; w samym artykule kontrast między obywatelem a tamtymi subtelizuje się nieco. Profesorowie nie zyskują coprawda wyraźnie praw obywatelskich; ale w dalszym toku dyskusji chodzi już o kontrast między „stanowiskiem obywatela-żołnierza“, a „mentalnością profesorską“. „Hołówko“ — czytamy — „broniąc swego stanowiska (uwypukla) najcharakterystyczniejsze cechy obywatela - żołnierza niepodległości i przeciwstawia je mentalności profesorów“. Głos profesorów w sprawie więźniów brzeskich, notuje Kaden, ze szczególną wyrazistością przypomniał „to samo niezmienne profesorskie stanowisko, przeciwstawiające się w imię“ — czego? — „hierarchji i rzekomego przywileju najwyraźniejszym wymogom życia i jego słusznej sprawie“. Pochwyćmy czysty dźwięk tych słów. Nadał je ze swego akustycznego *studio* ten sam pisarz, co kiedyindziej (30.I) w „Gazecie Polskiej“ rozgłaszał: „I jeżeli... marzyłem jeszcze o jakimś pisarskim zaszczycie, to ten uważam za największy: Aby dawna Brygada, gdy już sprawy Niepodległości zwycięskim naszym ciosem zostały rozstrzygnięte, — stanęła teraz na tym, być może najtrudniejszym szańcu: sprawiedliwej wolności wewnątrz samej Ojczyzny“. I ten sam, który przed paru miesiącami położył swój podpis pod protestem międzynarodowym pisarzy P.E.N. - klubów przeciwko znęcaniu się nad więźniami politycznemi. Wszystko to aparat umysłowości sanacyjnej nadał bez trzasku. Nie byle osobliwość — w tej chwili jednak chodzi nam o coś innego. Zauważcie, jak ta koncepcja „obywatela - żołnierza“ przeciwstawionego „profesorom“, bezsensowna jest w państwie nowoczesnem, gdzie wszyscy obowiązek żołnierski spełniają, i jak zupełnie obca pojęciom o narodzie nowoczesnym. W żadnym z odwiecznych, obytych z państwowością narodów europejskich przeciwstawienie podobne na łamach prasy poważnej nie byłoby możliwe. Profesor jest oczywiście tyleż samo żołnierzem i niemniej patrjotą, co generał. Że jeden służy w armji stale, a drugi niestale — to kwestja zawodowstwa, a nie różnica spełniania obowiązku obywatelskiego i żołnierskiego. Profesor może być niezdolny do noszenia broni? — ale i generał może podlec superrewizji... często podlega. Gdzie powszechny jest obowiązek służby wojskowej, gdzie panuje koncepcja „narodu pod bronią“, tam nie ma sensu kult munduru, a frazes o „obywatelu-żołnierzu“ nic nie znaczy. W Polsce są to nostalgiczne ideje z czasów bezpaństwowych, z owego potwornego okresu, kiedy armji (polskiej) nie było. Charakterystyczne dla „państwowców“ — ideologów, co deklamują o państwie, ciągle jeszcze nie mogąc się z niem oswoić. Kiedyż skończy się ta przewlekła kompromitacja?

NAUKA I LITERATURA

NOWACZYŃSKI I KRYTYKA

„KOMEDJA AMERYKAŃSKA“—dwudziestopierwszy z rzędu dramatyczny utwór Nowaczyńskiego—skłania nas do wejrzenia (bodaj pobieżnego) w sądy o tym fenomenie naszego piśmiennictwa: Głos pierwszy ma nestor historyków literatury, Aleksander Brückner, tak oto piszący w ostatniej, zupełnie od nowa stworzonej (siódmej z koleił) „Literaturze polskiej“ (1931 r., str. 323-4): „Młodej Polsce w Krakowie nie brakło i satyryka, co pióra nie ostrzył tylko przygodnie (jak Tetmajer, Kasprowicz i in.), lecz cały rzemiosłu się oddał: Adolf Nowaczyński (ur. 1876) wypowiedział wojnę wszelkiemu mydlarstwu, pruderji małomiasteczkowej, safandulstwu rodzinnej ziemi, jej niezaradności i ubóstwu... Wirtuoz to niezrównany dowcipu słownego, szyderca przytem, prawiący gorzkie prawdy w gorzkiej formie, szermierz nowych idej bezwzględny, nieraz gniazdo os rozruszał, szczególnie w Warszawie, opuściwszy prowincję, t. j. Kraków“.

Zdzisław Dębicki w „Portretach“ (1927, str. 228), tak charakteryzuje autora „Nowych Aten“: „Nas, dzisiaj, interesuje przedewszystkiem Nowaczyński, jako pisarz. I tu niema żadnej wątpliwości co do tego, że mamy do czynienia z talentem niepospolitym, wyjątkowym, bogatym i nawskroś oryginalnym, żywotnym, błyskotliwym, choć nieobliczalnym i pełnym niespodzianek. W naszych specjalnie warunkach, w naszej literaturze jest to zjawisko wprost zastanawiające, ani śladu bowiem w Nowaczyńskim polskiego „cierpiętnictwa“, ani śladu polskiego marzycielstwa, natomiast zgoła niepolskie poczucie rzeczywistości i uwielbienia dla pozytywnej pracy i pozytywnego dorobku narodów i społeczeństw... Nowaczyńskiemu zarzuca się często brak wewnętrznego zharmonizowania i sprzeczności, w których tonie. Jest to zarzut płytki, bo gdzież są wśród ludzi współczesnych, zwłaszcza wśród tych, którzy przeżyli wielką wojnę i jej następstwa, ludzie o zharmonizowanych duszach i ludzie, w których umysłach niema sprzeczności?“...

Zygmunt Wasilewski w tomie „Poeci i teatr“ (1929, str. 156) w ten sposób ujmuje twórczość Nowaczyńskiego: „Pu-

blicysta, wskazujący drogę, walczy w nim o lepsze z satyrykiem, obydwaj zaś z artystą, mającym słabość do wszystkiego, co mu daje sposobność eksplodowania śmiechem i rakietami słowa. Jego słowo, w śmiechu zrodzone, pęka w powietrzu na cząstki barwne, tworzy nowe związki zupełnie niespodziane, ale takie, które zawsze parzą, nietylko olśniewają. I nigdy niewiadomo, czy Nowaczyński chce podpalić dom przeciwnika, czy też zabawić się widokiem oszołomienia. Jest w tem artystą, kochającym swoją sztukę".

Do sądów tych należałoby dodać trafne uwagi z obszernego studjum o Nowaczyńskim, zawartego w 3 tomie „Młodej Polski" J. Lorentowicza, oraz liczne głosy w opracowaniach nowszej literatury i publikacjach, poświęconych Młodej Polsce. Przypominamy w końcu, że „Myśl Narodowa" (1929, nr. 34) zamieściła o Nowaczyńskim pełen głębokich uwag szkic sen. Wład. Jabłonowskiego: p. t. „Pamflecista czy altruista". P. G.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

W tych dniach nakładem Tow. wydawn. „Patria" wyjdzie książka Jędrzeja Gietrycha p. t. „O program polityki kresowej". Autor wykłada w niej zasadniczy pogląd na sprawę polityki naszej na wschodnich rubieżach ze stanowiska interesów państwa i cywilizacji polskiej. Społeczeństwo polskie oczekiwało na taki program oddawna.

*

Ogłaszane rozdziałami w „Myśli Narodowej" (pod koniec 1930 i na początku 1932) studjum prof. Stanisława Cywińskiego „Symbolika Wesela" wyszło w odbitce w niewielkiej ilości egzemplarzy. Ponieważ pytają nas, gdzie dostać można, donosimy, że odbitką dysponuje autor, mieszkający w Wilnie, ul. Trocka 11.

TEATR

„KOMEDJA AMERYKAŃSKA" NOWACZYŃSKIEGO

ARTYKUŁ wstępny w poprzednim zeszycie „Myśli Narodowej", Zygmunta Raczkowskiego, zaczynał się od słów: „Maszynizm, zjawisko jeżeli nie poczęte, to w każdym razie wypielęgnowane i doprowadzone do rozkwitu w Ameryce, ma — podobnie jak Ameryka — w dalszym ciągu t. zw. „dobrą prasę", natomiast coraz gorszą literaturę. Prasa codzienna traktuje nader przychylnie, a nawet entuzjastycznie krainę wszelkich „największości", ludzi-automatów i tym podobnych cudów techniki; entuzjazmu tego nie gasi nawet widok dzikiej dżungli, jaki nagle ukazał się całemu światu z okazji zbrodni, popełnionej na dziecku Lindbergha i jego rodzicach".

Jest to artykuł jakby przeznaczony na przedmowę do książki A. Nowaczyńskiego p. t. „Komedja Amerykańska", którą niewątpliwie wyda. Narazie wystawił „Komedję" na scenie teatru Polskiego z podtytułem na afiszu: „*The miracle of Chicago*, sztuka historyczna z r. 1931 w 5 aktach".

Pierwszy akt tej przezabawnej i doskonałej komedji — to niemiłosierny wykład, co to jest dzisiejszy „maszynizm" amerykański. Cała sztuka Nowaczyńskiego oznaczać będzie w dziejach literatury i umysłowości polskiej moment, w którym się coś przełamało w poglądzie na drogi rozwoju. Nowaczyńskiemu przynosi to zaszczyt, że pierwszy potrafił reakcję psychiczną na ideały maszynizmu w sztuce sformułować.

Gdyby nie katastrofalny kryzys, zapewne trwalibyśmy jeszcze w błędach poganizmu maszynowego. Przecież tak niedawno czytano u nas książkę Forda, jak biblję, a instytuty naukowego racjonalizowania pracy, mechanizującej człowieka, wyglądały jak kaplice, kultowi maszyny poświęcone. Przyszła jednak chwila, że człowiek się zbuntował. Wyrazem tego buntu jest sztuka Nowaczyńskiego, pisarza uwrażliwionego na prądy życia i umiejącego dawać swoim reakcjom upust w wielorakiej formie — publicystycznej, bądź artystycznej. Właśnie dlatego, że w swojej młodości pisał „Nowe Ateny", gdzie Polakom, nieumiejącym wytwarzać i myśleć kategorjami gospodarczemi, za wzór stawiał Czechów i Amerykanina, właśnie dlatego on miał obowiązek krzyknąć, gdy spostrzegł, że ten Amerykanin doszedł w swych ideałach materjalistycznych do absurdu. Można się było niejednej rzeczy nauczyć od Amerykanina, choćby jego demokratycznej bezpośredniości w pracy, ale niczego dobrego nie nauczy się Polak od niewolnika maszyny.

Ze sztuk Nowaczyńskiego, które znam, „Komedja amerykańska" wydaje mi się najlepszą, najlepiej scenicznie zbudowaną, bardziej niż inne jednolitą w stylu, konsekwentną w tezie i wyrównaną w humorze, który słonecznie ją prześwietla. Skróciłbym może akt pierwszy, przeładowany charakterystyką „maszynizmu" — przez to za długi. Tempo sztuki z każdym aktem staje się żywsze, a siła komizmu jest tak wielka, że wszystko, co satyra ma w sobie złośliwego lub dydaktycznego, schodzi na plan dalszy: temperament artysty bierze górę, — Nowaczyński się bawi, a z nim szaleje publiczność.

Gdyby nawet kto był w tej sztuce osobiście sfotografowany, toby Nowaczyńskiemu winę darował, bo by się z nim razem z siebie śmiał. A cóż dopiero ogół emigracji polskiej, który artysta ma prawo studjować na równi ze społeczeństwem w kraju. Autor nie wprowadza na scenę ani jednej figury amerykańskiego autochtona; wyśmiewa amerykanizm ten, który się odbija i przełamuje w dobrotliwej duszy emigranta polskiego. To mu wolno i to powinien. Wiele się mówi o złośliwości Nowaczyńskiego, ale zamało o jego sercu dla ludzi. W gruncie rzeczy ci ośmieszeni amerykanie polscy rozrzewniają Nowaczyńskiego swoją dobrą polską naturą; on im krzywdy nie robi.

A przytem, żeby im oszczędzić tego uczucia, że są traktowani, jak ludzie obcy, autor sam siebie wprowadza na scenę. Pierwszy raz z takim pomysłem publiczność się spotyka. Jest tam w Chicago między rodakami sam autor. Widzieliśmy w urywku aktu II, drukowanym w „Myśli Narodowej" (nr. 19), że jego osoba występuje tam ze swem nazwiskiem (na scenie figuruja Autor Starokrajski). Jak Dante zstąpił do ich piekiełka zmechanizowanego, a że się czuje między swymi, daje dowód, zakochując się w Szczęśniakównie — na rękach ją nosi.

Bogactwo inwencji idzie o lepsze z darem wizyjności. Nowaczyński nie był w Ameryce, a przecież czego może dokonać wyobraźnia, wspomagana umiejętnością czytania dzienników i książek! Dla wyobraźni Nowaczyńskiego niczem jest czas (czego dał dowód w sztukach historycznych) i przestrzeń, nawet oceaniczna. Słyszy, jak radio, na odległość, a może radjo będzie z czasem tak widzieć. Zdarzył się przy antenie dziennikarskiej artysta. Sztuka Nowaczyńskiego jest istotnie obrazem historycznym naszej doby przełomowej. Sięga do źródła obłędnych wzorów amerykanizmu, ale jest ostrzegawczą dla naszego kraju.

Amerykanie Nowaczyńskiego, którzy z tego kraju pochodzą, są materjałem surowym, jaskrawo więc uwydatniają zboczenia cywilizacji, narzucanej całemu światu. Nowaczyński malując tę szkołę obyczajów, kładzie nacisk humorystyczny na brak smaku, właściwego cywilizacji europejskiej. Ta jest organiczna, w przeciwstawieniu do mechanicznej, mianowicie oparta jest na kulturze ducha, która przepaja w sobie integralnie pierwiastki dobra, prawdy i piękna w ten sposób, że każdy z nich staje się probierzem dla drugiego. To też europejczyk nie może patrzeć spokojnie zarówno na salon zbogaconego dorobkiewicza, jak i na bandytyzm, który się wkradł do życia publicznego. Cywilizacji maszyna nie zrobi.

Dekorator p. Śliwiński dobrze zrozumiał amerykańską kakofonję, parodjując ją na scenie. Doskonale też wpadli w falę widzeń Nowaczyńskiego artyści. P. Zelwerowicz pięknie postąpił, dając Szczęśniakowi akcenty człowieczeństwa, jeszcze nie pożartego przez maszynę. Pierwszej klasy wynalazkiem scenicznym jest babcia Mondschein, dobrze zrobiona przez p. Muclingrową.

„Komedję amerykańską" dobrze wyreżyserowano. Niesłychane awantury, dziejące się na scenie, są tak żywe, a bezbolesne, że publiczność im wierzy, nie czując potrzeby kwestjonowania i doskonale się bawi.

Scena polska nie może się uskarżać na brak utworów oryginalnych, rozmaite światy ogarniających. Bogactwo jest, skoro piszą na scenę: Rostworowski, Miłaszewski, Nałkowska, Siedlecki, Szaniawski, Nowaczyński i inni. Dwu z nich: Szaniawskiego („Fortepian") i teraz Nowaczyńskiego pociągnął ku sobie dramat wielkiego kryzysu, który wstrząsa obecnie światem. I to jest chlubą myśli polskiej, że ma odwagę myśleć. Z. W.

MIŁOŚĆ PANIEŃSKA

WYSTAWIONA w Teatrze Małym sztuka p. Marji Kuncewiczowej p.t. „Miłość panieńska" jest utworem napisanym po panieńsku. Słuchając djalogów, widz ma wrażenie, że wyszły one z pod pióra pensjonarki, która naczytawszy się najpierw Zapolskiej a następnie Boya, postanowiła napisać „*une piéce á these*" czyli mówiąc nowocześnie „sztukę z problematem".

Obrała problemat modny i drastyczny: poronienie.

Niestety, nie potrafiła sobie z nim poradzić. Zamiast żywych ludzi pokazała kukły papierowe, które nas nie wzruszają i nie przekonują. Elementarny brak poczucia rzeczywistości razi nas w każdej niemal scenie. Literackość rozmów „życiowych" jest nieznośna. Ani naturalistyczne rekwizyty,

ani wysiłek reżysera, ani praca aktorów nie są w stanie tego utworku ożywić.

Rzecz dzieje się w t. zw. sferze inteligenckiej. Uczenica konserwatorjum romansuje z młodym człowiekiem, z którym jest nieoficjalnie zaręczona. Dlaczego nie pobierają się, ani dlaczego przynajmniej nie powiedzą rodzicom, że są zaręczeni — tego autorka dostatecznie nieuzasadnia. Nie możemy ani rusz zrozumieć, czemu ojciec bohaterki uważa, że do małżeństwa jego córce niezbędny jest patent z ukończenia studjów muzycznych. Bohaterka chciałaby mieć dziecko. Ale tylko wówczas, gdyby jej kochanek również tego dziecka pragnął. Ponieważ młody człowiek oświadcza ogólnikowo, że dziecko jest prywatną sprawą kobiety—młoda panna postanawia spędzić płód. W akcie trzecim autorka pokazuje nam wnętrze zakładu położniczego, w parę chwil po operacji. W akcie czwartym okazuje się, że bohaterka ma życie złamane, bo młody człowiek (który wcale nie wiedział, że jego narzeczona była w ciąży) nie chciał mieć przed ślubem dziecka. Panienka wróciwszy z lecznicy do domu rodzicielskiego, zrywa z narzeczonym. Rodziców w swój dramat wcale nie wtajemnicza.

Taka jest treść sztuki, która, mówiąc szczerze, nie zasługiwała niczem na wystawienie.

Aktorzy robili, co mogli, żeby widowisko uczynić interesującem. Za ich wysiłki należą się pp. Romanównie, Dunin-Osmólskiej, Frietschemu, Pawłowskiemu i Sulimie — wyrazy uznania.

ZASTĘPCA

FILM

Apollo: „Żona na jedną noc". Poza tytułem film nie ma w sobie nic zdrożnego. Odpowiedni jest nawet dla młodych panienek, gdyż te kilka pocałunków, które tu widzimy, nikomu nie zaszkodzą; nie należą one do kategorji „upojnych", czy ja wiem zresztą, trzebaby w tej materji zasięgnąć porady fachowca. Cała rzecz została zmontowana bardzo zręcznie, jest żywa, wesoła i zajmująca. Pełno tu dowcipów i sytuacyj zabawnych, takich, które mając rację bytu na scenie, niezgorsze są i w filmie. Djalogi (francuskie) równoważy dobre tempo. Duszą filmu jest René Lefebre, znany z „Miljona". Podkład muzyczny, inteligentny i lekkostrawny, podkreśla rytmikę akcji. Szkoda tylko, iż skrzętnie ukryto przed nami nazwisko reżysera, który chyba do powodzenia tej miłej i zabawnej historyjki coś niecoś się przyczynił.

*

Stylowy: „Książę Dracula" reż. Tad. Browning.

Przekonano się, że niesamowitość jest kanwą bardzo podatną do tkania na niej przeróżnych pomysłów, zdecydowanie kinowych. Oczywiście kino nie zaniedbało wyzyskania tych możliwości i widzieliśmy już szereg pierwszorzędnych filmów „niesamowitych", że wymienię chociażby Pawła Leni. Kategorja ta należy do rzędu utworów sensacyjnych w niewątpliwie lepszem znaczeniu, niż filmy t. zw. kryminalne. Gdy sensacyjność wizualna zostaje wzmożona przez nagłość nieoczekiwaną asocjacyj logicznych akcji, gdy nasze schematy myślowe, plastyczne i t. d. odwartościowuje ukazanie innych rozwiązań i zestawień—film „niesamowity" wkracza w dziedzinę sztuki. W „Księciu Dracula" poprzestano na zgromadzeniu samych rekwizytów niesamowitości, zarówno w dziedzinie wzrokowej, jak i słuchowej (ciemność, nietoperze, obłędny wzrok i śmiech, palce-szpony, wycie, piski i t. d.). Niestety, nie rzecz decyduje, ale jej użycie. Przynajmniej w sztuce. A „Książę Dracula" nie ma nawet akcji, która — jak piszą recenzenci powieści sensacyjnych—trzymałaby uwagę widza do ostatniej chwili w napięciu.

KANDYD

ZMARLI

Ś. P. KS. TEODOR CZERWIŃSKI

W DNIU 1 maja zmarł w Kielcach b. prefekt gimnazjum miejscowego ks. Teodor Czerwiński, prałat, dziekan Kapituły, protonotarjusz apostolski, ostatnio proboszcz Chęciński. Zmarł, po krótkiej chorobie, w zakładzie dla księży emerytów, w 91-m roku życia.

Kościół miał w nim jednego z najwybitniejszych kapłanów, Polska— dzielnego obywatela. Przeżył wiele generacyj swoich uczniów, a ci, co żyją, chowają we wdzięcznej pamięci tą szlachetną i wielką indywidualność, pełna żywotności, żarliwości ideowej i religijnej, męstwa i patrjotyzmu.

Urodzony 9 listopada 1841 r. w Ćmielowni (w Sandomierskiem) uczył się w Sandomierzu i po ukończeniu seminarjum wstąpił do Akademji duchownej w Warszawie. W roku 1867 wyświęcony na kapłana, w tymże roku powołany został na stanowisko prefekta w gimnazjum kieleckiem. Zajmował je 22 lata do r. 1889.

W tym roku „obrusitiel" dyrektor Ławrowskij wystosował do ks. Czerwińskiego pismo, aby uczniowie nie pozwalali sobie na spowiedź więcej razy, jak tylko raz w wielkim poście, w czasie przepisanym przez władze okręgu. Przyczem poleca „surowe wzbronienie uczniom spowiadania się przed księżmi obcymi". Wszystko to pod grozą dymisji. Dyrektor przytem uprzedza, że gdyby z powodu tego rozporządzenia powstały „nieprzychylne dla władz" komentarze, to za nie prefekt będzie odpowiedzialny. Ks. Czerwiński odpowiedział w obszernym liście po polsku. Oto mały urywek:

„Chcesz Pan, żebym powiedział młodzieży, że według kościelnego prawa dla katolików, jak to Pan utrzymujesz, jest ona obowiązana raz tylko na rok spowiadać się i komunikować. Błędnie tu Pan cytujesz prawo kościelne, że fałszować mi je polecasz..." A wreszcie: „...stanowczo się zastrzegam od jakiejkolwiek za to, co Pan niepotrzebnie przewidujesz, odpowiedzialności. Gdyby nawet były jakieś nieporządki, nie ja je wywołam, ale Pańskie rozporządzenie, przeciwne wierze i religijnej swobodzie katolików w Państwie"...

Za tę odwagę i patrjotyzm ceniła go młodzież, zwłaszcza po opuszczeniu szkół ze czcią imię jego wspominała. W szkole bano się jego surowości i niezawsze przez to lubiano. Do takich należał i Żeromski, jak wiemy z jego wspominań. Ale ksiądz Czerwiński w „Pamiętnikach" swoich, teraz wydanych notuje, że na egzemplarzu „Puszczy Jodłowej" Żeromski wypisał mu w dedykacji takie słowa: „Czcigodnemu księdzu Prałatowi T. Cz., z którego ust nie słyszałem przenigdy, przez cały czas pobytu w rusyfikacyjnej szkole, ani jednego rosyjskiego wyrazu, Kochanemu Mistrzowi i Surowemu Nauczycielowi w sprawach duszy—ten skromny upominek, jako wyraz wdzięczności przesyła z prośbą o pamięć i modlitwę—uczeń szkoły kieleckiej Stefan Żeromski, z Warszawy 14.2.1925 r."

W ciągu lat sześciu 1894—1900 ks. Czerwiński był delegatem djecezji kieleckiej w Petersburgu, gdzie w paru szkołach polskich dawał lekcje religji. Obsługiwał również w tym czasie kościół katolicki w Gatczynie. Po powrocie zajmował probostwa w Skalmierzu, potem w Chęcinach. Od paru lat z powodu starości usunął się od stałej pracy. Emerytury nie dostał, żył ze skromnych oszczędności, z których większą część przeznaczał na swoje publikacje.

Do końca życia trzymał się zdrowo i rzeźko. Pogrzeb ś. p. Wiktora Jarońskiego, swego ucznia, we wrześniu r. ub. sam prowadził na odległy cmentarz. W tym roku sumę wielkanocną w katedrze kieleckiej odprawiał. Żywo do ostatka korespondował, zbierając materjały do dalszych części swego pamiętnika.

Z datą 1831 r. wyszły dwa tomiki „Pamiętnika" ś. p. ks. T. Czerwińskiego. Wydane w Kielcach, wykonane w drukarni św. Józefa na Karczówce. T. I (z portretem) str. 58, t. II—str. 102. W przedmowie czytamy:

„Piszę ten pamiętnik nie dla reklamy, ani jakiej korzyści, gdyż niczem nie handluję"... Chlubił się tem, że żadnej swojej książki do księgarni nie oddał. Pisał, aby rozdawać przyjaciołom. Będą wskutek tego te druki rzadkością. Wszystkie niemal drukował na Karczówce. Do większych prac należą, oprócz powyższego „Pamiętnika": „O św. Wojciechu i kościele św. Wojciecha w Kielcach", „O pierwszym rektorze Uniw. Jagiellońskiego Skalbmierczyku", „O kościołach i kaplicach w djecezji kieleckiej", „Żywot Pana Jezusa, Jego Kościół i Papieże", „Skład apostolski dla rodzin" (ostatnie wyd. 1926), osobno wydane przemówienia i wspomnienia o zmarłych kielczanach (7 broszur); z nich wymieniamy: „Dookoła Żeromskiego" (1926), „Wspomnienie o Michale Rowińskim" (filologu), „Dookoła moich przyjaciół" (1831, o W. Jarońskim) i inne.

Do „Pamiętnika" swego dołączył parę utworów wierszowanych, które lubił na starość pisywać. Oto jego uzupełnienie „Roty" przez młodzież śpiewanej:

Nie damy dzieciom wiary kraść
Przez złe bezbożne szkoły!
Choćbyśmy mieli trupem paść —
Próżne wrogów mozoły.
Nie puścim djabła w szkolny próg—
Tak nam dopomóż Bóg!

Żywot ś. p. ks. Czerwińskiego zasługuje na specjalne studjum historyczne i regjonalne. Łączył się w nim wzór kapłana-szermierza katolicyzmu, patrjoty i wychowawcy. Zajmie poczesne miejsce w dziejach Kościoła i w historji miłych sercu polskiemu Kielc. A tradycja jego długo żyć będzie w sercach, dziedzicznie plonujących dobrem i prawdą z jego posiewu.

Z. W.

OFENSYWA

SPROSTOWANIE

W PROCESIE pana Sieroszewskiego przeciw „Gazecie Warszawskiej" oskarżający „Gazetę" literat powoływał się na swoje i w ostatnich latach zażyłe stosunki ze ś. p. Żeromskim.

Nic nam o tem nie wiadomo i szczegółu tego sobie nie przypominamy. Nikt sobie nie przypomina. Być może, że kiedy się znaleźli nad polskiem morzem w latach jeszcze harmonijnych, kiedy p. Sieroszewski Żeromskich nachodził, przyjmowany tam był normalnie i traktowany tak, jak gości Polak Polaka, kolega kolegę, kiedy się znajdą jeszcze *egzo* i obaj uszczęśliwieni zyskanym dla ojczyzny „skrawkiem nad słoną wodą". Ale o żadnych zażyłych stosunkach nie mogło być mowy i żadnego cienia przyjaznych uczuć nie było. Zresztą i tam nawet Żeremiasz mieszkał sobie skromnie i biednie jak zawsze, a pan Sieroszewski budował na „Kamiennej Górze" piękną, burżujską willę z mieszczańskim, wykwintnym ogródkiem.

Żeremiasza poznałem lat temu dobrze trzydzieści. Stosunki bywały to cieplejsze, to chłodniejsze. W ostatnich latach okazywał mi stale dużo gorącej sympatji, za każdy numer „*Liberum Veto*" i później za każdy numer „Myśli Narodowej" specjalnie chwalił, odręcznie gratulował, „zaczytywał się" i solidaryzował stuprocentowo. Do całej zaś „elity" dziś rządzącej, jej patronów wielkich i małych żywił poprostu wstręt i odrazę. Przeczuwał następstwa i konsekwencje najgorsze w bliskiej lub dalekiej przyszłości. Nigdy się z tem nie taił. W domu u siebie ich nie przyjmował. Towarzysko z nimi się nie zadawał. Oferty i ofertowiczów w różnych latach należących poprostu wyrzucał lub wypraszał za drzwi, począwszy od sławnej, a mało znanej historycznej sceny w Zakopanem...

Pana Sieroszewskiego specjalnie nerwowo nie trawił, nie znosił, nie czytał, o jego Kampanjach, o jego czaku papierowem, militarnych poczynaniach, występach i występkach wyrażał się zawsze surowo i sarkastycznie. Świadczyć o tem może kilkudziesięciu świadków męskich i żeńskich.

Taki sam zresztą stosunek i do człowieka i do sprawy i do „elity" do jej patronów małych i wielkich mieli stale śp. Kasprowicz, Reymont, nawet Przybyszewski (jak zresztą dzisiaj Świętochowski, Rostworowski, Weyssenhoff, Staff, Strug, Siedlecki etc. etc.)

Te sprawy trzeba będzie raz szeroko i dokumentarycznie wyświetlić, omówić i sprecyzować, aby uniknać takich nieporozumień, jak wiązanie nazwisk wielkich zmarłych z geszeftami Brygady lub Sanacji. Żeromski z tymi panami nie miał nic a nic wspólnego. Z panem Sieroszewskim w żadnych zażyłych stosunkach nie był. Od r. 1918 nigdy Żeromskiego w towarzystwie pana Sieroszewskiego nie widzieliśmy. A widywaliśmy go często.

I. K. C.

WYDAWCA „Tajnego Detektywa", „Wróbli na Dachu", krakowskiego „Kurjerka" i t. p. poseł Marjan Dąbrowski w licznych procesach prasowych, do których popycha i podmawia jego doradca prawny, niejaki Rappoport, powołuje się często na swoją „nienaganną" przeszłość polityczną (*sic*) i na tą „zasługę", że *tempore belli* stał bohatersko i niezłomnie po stronie Ententy.

Przeczą temu najkategoryczniej poszczególne numery „Ilustrowanego Kurjerka" z lat 1916 i 1917. Mocne zaś światło na ten „stosunek do Ententy" p. Marjana Dąbrowskiego rzuca dokument, jaki nam życzliwie nadesłano z Krakowa.

Jest to „List Otwarty" obecnego współpracownika I.K.C. p. Konstantego Krumłowskiego (autora „Królowej Przedmieścia") wysłany i zamieszczony w „Naprzodzie" z dnia 13-tego marca 1919 roku.

Dokument ten brzmi jak następuje:

„Szanowny Panie Redaktorze! W „Naprzodzie" pojawił się przed kilku dniami artykuł, piętnujący w należyty sposób niecne, austrofilskie stanowisko „Il. Kurjera Codz." i jego wydawcy w czasie wojny. „Kurjerek", pragnąc oczyścić się z tak ciężkiego a słusznego zarzutu, usprawiedliwia się tem, że nadsyłane przez rząd austrjacki wiersze, reklamujące pożyczkę, powierzył „najzjadliwszemu humoryście, który na temat owych wojennych pożyczek wypisywał w „Kurjerku" takie złośliwości, iż cała Galicja zanosiła się od śmiechu". Były to rzeczy tego rodzaju jak np. popularny w owym czasie wierszyk: „Nie należy zwlekać, więc naprzód do czynu!—Podpisuj pożyczkę austrjacki synu!" Pomijam, że wydawca „Kurjerka" kryjąc się obecnie za plecami autora tych „złośliwości", nie wymienia jego nazwiska, chociaż wszyscy wówczas wiedzieli, że wierszyki te ja pisałem. Lecz co innego chcę przypomnieć p. Dąbrowskiemu, co zarazem wyjaśni jego ultra-austrjackie stanowisko w owych czasach. Otóż p. Marjan Dąbrowski terrorem i groźbą dymisji chciał mnie zmusić do pisania pochwalnych peanów na cześć Austrji i za propagandą pożyczki. Gdy się jednak oparłem temu i zręcznem podejściem umieściłem w „Kurjerku" pierwszy wierszyk ośmieszający pożyczkę, p. Dąbrowski przerażony sybskrybował tego samego dnia kwotę 20.000 kor. na 6-tą pożyczkę wojenną i to dobrowolnie, bez żadnej presji i przymusu ze strony władz austrjackich i zaczął wypisywać w piśmie swem (oczywiście nie sam, bo i tegoby nie potrafił) — sążniste a entuzjastyczne artykuły sławiące te austrjackie pożyczki. Zapytuję więc p. Dąbrowskiego, czy ośmieszanie i paraliżowanie akcji pożyczkowej miało na celu subskrybowanie owych 20.000 kor. dla Austrji, podczas gdy współpracownicy jego pisma nie wyłączając i „najzjadliwszego humorysty" wyzyskiwani niemiłosiernie — formalnie głodem przymierali, a najwyższa gaża w „Kurjerku" nie przekraczała 400 koron miesięcznie? Zapytuję p. Dąbrowskiego, czy również celem ośmieszania pożyczek wojennych napisał ów służalczy list do arcyks. Stefana w Żywcu, list, w którym ściele się do stóp Austrji, zapewnia, że cała Polska nie pragnie niczego jak tylko Habsburga na tronie — a on — wydawca „Kurjerka" w zamian za to prosi, by urzędnikom i służbie dworu żywieckiego wolno było prenumerować „Kurjerka".

Zechciej Sz. Panie Redaktorze zamieścić na łamach poczytnego swego Pisma tych słów kilka i racz przyjąć wyrazy prawdziwego poważania".

Konstanty Krumłowski

Takie to były początki błyszczącej karjery wydawniczej krakowskiego Hearsta, wydawcy najpopularniejszego tygodnika sanacyjnego „Tajny Detektyw", drukowanego obecnie podobno w 200.000 egzemplarzy i przyczyniającego się mocno (wedle depeszy urzędowego „Pata", do wzrostu zbrodniczości w Polsce.

Nawiasem mówiąc tenże „Pat" dał z tatrzańskiego wyścigu samochodowego w jesieni r. 1931 następującą depeszę:

„W klasie „C" startują hr. Romer, na Chryslerze, 2 Dodge pod kierownictwem p. Malinowskiego i Zmigroda, dalej Studebacker posła Dąbrowskiego z kierowcą p. Judaszem, dalej p. Wolfnera z Budapesztu i p. Kochlermana"...

Kierowcą Studebackera posła Dąbrowskiego (wydawcy „Tajnego Detektywa") p. Judaszem...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

„Gazeta Polska", organ piłsudczyków nie może się nacieszyć wynalazkiem Brześcia. „Brześć" — powiada on (nr. 127) — „był karą... za zbrodnię handlowania państwem i jego dobrem. ...Brześć był sprawiedliwością... Brześć był lekarstwem, Brześć był podniesieniem godności Państwa"...

Dziwna rzecz, że cały świat inaczej zupełnie ocenia ten fakt i jego skutki. Tem gorzej dla świata! — powiadają. Pijany gotów przysięgać, że świat się chwieje i wywraca. Ale czemże znowu tak się upajać? Tem powodzeniem?

*

Prometeusz „sanacji" (od wiersza i z pensją) p. Bandrowski klęka w tej samej „Gazecie" przed Hołówką, jako moralistą brzeskim:

„Kto chce zrozumieć tak jeszcze (?) żywą w Polsce walkę prawa formalnego z wielkiem poczuciem sprawiedliwości (?) ten powinien uważnie odczytać list Hołówki do profesorów (w sprawie Brześcia); znajdują się tu bowiem nietylko argumenty, lecz także drogowskazy najczystszej wzniosłości".

Ach to „prawo formalne", które tyle kłopotu robi rządzącym! Szeroka natura wschodnia. A przyszło to z Galicji...

Ale, p. Bandrowski, czemuż to pan niedawno wypierał się solidarności z Brześciem, podpisując odezwę Penklubu, skoro to był „drogowskaz najczystszej wzniosłości?"

*

Jeden z czołowych krytyków sanacyjnego świata literackiego, zdając sprawę z jakichś utworów, które nazywa „pracą pacyfistyczną", zastanawia się głęboko nad tem, dlaczego ludzie walczą. „Tragizm polega na tem zapewne, że źródłem równowagi świata, jest zarzewie nierówności u samych podstaw bytu. Stąd ciągłe boje"...

Skoro źródłem jest zarzewie, niema być tragizmu? Nie „zapewne", ale napewno na tem polega tragizm: przecież to ogień i woda. Ma pan rację.



TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.